tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 52 (1151) ROK XXII 30 GRUDNIA 1979 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE:

Jak zostałem kaskaderem

Jestem uwiązany na linie, ale jej luz wynosi trzy do czterech metrów. Jeżeli spadnę, to lina nie pomoże, bo nadzieję się na pręty rusztowania, które oplatają budynek jeszcze nie oddany do użytku. Samopoczucie mam podłe, drżę cały. Jest bardzo zimno, wieje silny wiatr, to jeszcze bardziej utrudnia zadanie.

(KAZIMIERZ KOLINKA)

Przesiadka w Rzgowie

Kazimierz Włodarczyk, o którym mówią, że ma niewyparzoną gębę, ale jest dusza człowiek, wraz z młodzieżą przyczynił się do zbudowania drogi z Gospodarza i Czyżeminka.

(RYSZARD BINKOWSKI)

Inna polana

— Wypędzę cię z pracy! Jesteś niegodny miana uczonego! Jedynym ratunkiem dla ciebie jest natychmiastowe zaprowadzenie mnie do tamtego świata! Natychmiastowe!

(KIRYŁ BUŁYCZOW)

Lęk przestrzeni

Zauważmy, jak mało wiemy o architekturze, my, zwyczajni zjadacze chleba, jak mało zastanawiamy się nad nią i jak obojętny w gruncie rzeczy jest nasz stosunek do niej. A przecież z tą sztuką mamy do czynienia na co dzień, w każdej chwili naszego życia, częściej niż z każdą inną.

(JAN MICHALEWICZ w rozmowie z Konradem Frejdlichem).

PONADTO:

- Załącznik
- Poezja, proza
- Felietony
- Bazy USA na Synaju
- Fundament miasta i wiele innych materiałów

Foto: W. Parys

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

INNY PEJZAŻ

1.

Otwieram książkę i czytam:
Jakby tu miasto przystroić w rym?
Miasto jesienią posępne, nudne...
Szary i siny i bury dym
I siecie ulic skupione, brudne.
To Julian Tuwim.
Przewracam strony.
W dymach czarnych budzi się Łódź,
To Władysław Broniewski.
Dalej odwracam karty.
Dymi Łódź, tło płomienne zaszło — i pobladło.
To Julian Przyboś.
I jeszcze kilka kartek.
W krajobrazie miasta rosło twardo
na Żabieńcu, Retkini, Powodzi —
z wpiętą w warkocz kominów kokardą
burych dymów, synonimem Łodzi.
To Wacław Mrozowski.

Zamykam książkę. Jej tytuł *Pejzaż łódzki*. Pejzaż zamknięty w strofach poetów. Inny pejzaż, miniony. His-

Dalszy ciąg na str. 5

LĘK PRZESTRZENI

Rozmowa z JANEM MICHALEWICZEM głównym architektem województwa sieradzkiego

— Sieradzkie jest jednym z nowo utworzonych województw w wyniku reformy administracyjnej z roku 1975. Decyzja ta nie była tylko prostym odwołaniem się do tradycji, bo jak pamiętam Sieradz już w wieku XV był siedzibą województwa, ziemi i starostwa grodowego. Stworzenie nowych możliwości rozwojowych temu regionowi zrodziło także nowe zadania. Jak rozwiązuje je architektura?

— Architektura i urbanistyka, bo chodzi o przekształcenia wyższego rzędu. Nie zapominajmy, że w skład nowego województwa weszły w zasadzie tereny powiatów: wieluńskiego, łaskiego, poddębickiego i oczywiście sieradzkiego, nie licząc Zduńskiej Woli, która w dawnym układzie administracyjnym pełniła funkcję miasta wydzielonego. Najpilniejszym zadaniem było zintegrowanie regionu i dostosowanie obszaru województwa do nowych funkcji w zakresie powiązań z nowymi miejscami pracy, sferą usług. Chodziło o stworzenie zdrowego organizmu gospodarczego i zapewnienie mu sprawnej obsługi administracyjnej, co związane było z aktualizacją planów miejscowych poszczególnych jednostek osadniczych. Osobnym problemem było przystosowanie samego Sieradza do funkcji wojewódzkich jako stolicy regionu, a to oznaczało konieczność przebudowy ośrodka wojewódzkiego z uwzględnieniem jego rozwoju.

O skali zadań niech świadczy to, że w województwie sieradzkim istnieją aż 42 jednostki administracyjne szczebla podstawowego. Nie mogliśmy wszystkim dać satysfakcji w ciągu tak krótkiego okresu czasu, potrzebna więc była selekcja i dokonaliśmy jej w oparciu o powstałe już w roku 1975 opracowanie pod nazwą „Ośrodki ponadgminne". Kryterium decydującym o wyborze była dostępność, przez którą rozumiem optymalną możność dotarcia do jakiegoś miejsca, w tym wypadku siedziby władz administracyjnych. Dziś mieszkaniec naszego województwa, który chce załatwić ważną życiowo sprawę, nie musi jechać dalej niż dziesięć, najwyżej piętnaście kilometrów co może nie jest jeszcze ideałem, ale na pewno jest już poważnym ułatwieniem. Plan ten nie spłynął zresztą z chmur na zasadzie deus ex machina, jest on kontynuacją działań podejmowanych już od roku 1961, kiedy zrodziła się koncepcja znana jako WTB, skrót pojęcia „wyznaczenie terenów budowlanych". Kolejnym etapem było wypracowanie uproszczonych planów gmin. Trzecim etapem, który właśnie realizujemy są plany zagospodarowania przestrzennego gmin w pełnej problematyce. Wykorzystujemy więc doświadczenia zebrane w ciągu wielu lat studiów i to chyba dobrze, bo w architekturze obowiązuje nas konsekwencja, programu, kontynuacja.

— Wspomniał pan o potrzebie uwzględnienia w tych wszystkich koncepcjach rozwoju Sieradza jako ośrodka wojewódzkiego. Jaka więc będzie stolica regionu w najbliższych latach?

Dalszy ciąg na str. 6

RYSZARD BINKOWSKI

PRZESIADKA W RZGOWIE

Zgarbiona, w czarnym płaszczu, drobiąc krok za krokiem, wymacując ostrożnie laseczką krzywe, pokruszone płyty chodnika, wraca z kościoła stara kobieta. Zatrzymuje się przed wystawą zakładu fotograficznego, aby zaczerpnąć do zmęczonych płuc chłodnego, przesyconego wilgocią jesiennego powietrza. Zakład „Z powodu urlopu macierzyńskiego" czynny jest trzy razy w tygodniu, ale wystawę ma pełną zdjęć. Nie ma na nich nikogo, kogo bym znała. Ci z mojego rocznika dawno się pożenili, pochrzcili dzieci, porozjeżdżali się w różne świata strony.

Po drugiej stronie ulicy Grodziskiej, wąskej, cichej, gdzie nowe murowane wille przedzielają białe drewniane chaty o małych okienkach, przytłoczone brzemieniem lat i ciężarem czarnych lub pozieleniałych, zapadłych dachów, pojawia się druga stara kobieta, wyprostowana, bardziej energiczna, w czerni. Minąwszy maleńki sklepik z napisem „Artykuły przemysłowe", które reprezentują na wystawie klosze, małe lampki nocne, gliniane wazoniki i pijaczyna dźwigający na plecach ogromną butelkę, mówi przez ulicę:

— I co? Znowu cię samą puścili?

— Pomodlić się jest ludzką potrzebą — odpowiada ta mała, zgarbiona, głosem zniekształconym przez zadyszkę — **ale nie każdy ją odczuwa. A moi nie mają czasu, pracują. Ty też chodzisz sama, kochana...**

W Rzgowie dużo jest takich kobiet i kilkadziesiąt takich uliczek jak Grodziska: starych, wąskich, cichych, jak gdyby zapomnianych, kończących się gdzieś w płaskim, szarym polu. Nawet ruchliwa, gwarna Tuszyńska przycichła i wyludniła się znacznie, bo na zachód od osady biegnie półkolem obwodnica łącząca Łódź z trasą Warszawa — Katowice. Po dziesięciu latach zdecydowano się na budową drugiej „nitki", drugiego wiaduktu, ponownie pocięto i rozgrzebano dziesiątki chłopskich działek, co ojcom gminy wcale nie przysparza radości.

Dzisiejsza zabudowa Rzgowa świadczy o dawnym miejskim układzie urbanistycznym. Bo Rzgów uzyskał w 1467 prawa miejskie, które stracił w roku 1870. Podczas pierwszej wojny światowej znaczna część zabudowań spłonęła, a że odbudowywano je według starego układu, w ścieśnieniu, dzisiaj niemal bezpośrednio sąsiadują z sobą i poczta, posterunek MO, KG PZPR w budynku starej gminy kościół z 1630 roku w stylu renesansowym (ale że wielokrotnie przebudowywany,

Dalszy ciąg na str. 4

KAZIMIERZ KOLINKA

JAK ZOSTAŁEM KASKADEREM

Zawsze chciałem mocno żyć. Pewnie na przekór swoim fizycznym warunkom. Dzień, w którym stałem się kaskaderem, nie różnił się zasadniczo od innych dni. Miałem już wtedy najwyższą krajową licencję rajdową. Byłem mistrzem okręgu w rajdach samochodowych. Myślałem, że barierę strachu mam za sobą.

Waldek, zaprzyjaźniony dziennikarz, zaproponował mi uczestnictwo w prasowym pokazie umiejętności kaskaderskich. Moje zadanie miało polegać na jeżdżeniu samochodem, z którego kaskaderzy będą wyskakiwać, przeskakiwać przez samochód; jednego z nich miałem przejechać.

Czułem się dumny, że wierzą w moje umiejętności. Postanowiłem pokazać się z najlepszej strony. Pojechaliśmy.

Było ich troje — Józek, Buba i dziewczyna. Skoki z wysokości kilkunastu metrów. Upadki, po których normalny człowiek nie powinien się podnieść bez pomocy chirurga. Paleniel Posmarowali Bubę napalmem i podpalili! Zapłonął jak pochodnia! Czekałem, co zrobi palący się człowiek. Skwierczał przy spalaniu napalmu na tkaninie. Ogarnęła mnie panika! Co teraz zrobi Buba? Płonął coraz bardziej. Zaczął biegać, płomienie i dym pokrywały go na całej wysokości. W pewnym momencie przypominał dużą ruszającą się pochodnię. Kiedy wydawało się, że nieuchronnie spłonie — rzucił się przed Józkiem na ziemię. Natychmiast pokryli go kocem azbestowym. Dziewczyna i Józek czuwali. Poklepywali leżącego przez koc. Wyglądało to tak, jakby ten ogień wklepywali w niego do środka. Kiedy odkryli koc — Buba był cały i żywy, niemniej trochę podpieczony. Wtedy zrozumiałem, że kaskader robi także bolesne numery, albowiem w tym zawodzie ból jest jedynym zaworem bezpieczeństwa. Stanowi punkt graniczny, którego nie wolno przekroczyć, a bez którego czasami nie można wykonać dubla.

Zacząłem ich podziwiać. Ludzie bez strachu. Jednocześnie zacząłem się bać, czy sprostam wymaganiom tych ludzi, prowadząc samochód.

Dalszy ciąg na str. 8

DOKĄD PĘDZISZ, TEATRZE LALEK?

W ostatnich dniach listopada Państwowy Teatr Lalek „Pinokio" brał udział w IX Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Lalek w Opolu. Spośród zgłoszonych na festiwal 21 spektakli komisja kwalifikująca wybrała 7, zapraszając do Opola sceny lalkowe z Warszawy, Łodzi, Torunia, Lublina, Bielska-Białej, Olsztyna i Szczecina.

IX Ogólnopolski Festiwal Teatrów Lalek poświęcony był realizacjom scenicznym dramaturgii polskiej dla dzieci dokonanym w ciągu ostatnich dwóch lat. W konkursie festiwalowym przedstawiono „Pastorałkę" Leona Schillera, „Sen klowna" Janusza Ryla-Krystianowskiego, „Złoty klucz" Jana Ośnicy, „Farfurkę królowej Bony" Anny Świrszczyńskiej, „Historię o żołnierzu" Juliana Tuwima wg. Ch. P. Ramuza, „Baśń o pięknej Parysadzie" Bolesława Leśmiana i „Szopkę krakowską" S. i T. Estreicherów.

Z samego już zestawienia tytułów rodzi się pytanie: jak to jest właściwie z tą dramaturgią dla dzieci, skoro na festiwalu poświęconym tej problematyce prezentuje się w większości utwory, które mają już swoją sceniczną historię, utwory należące do klasycznego repertuaru teatrów lalek? Czy rzeczywiście brak wartościowych współczesnych scenariuszy? A przecież, z kolei w ciągu ostatnich trzech lat w Państwowym Teatrze Lalek „Pinokio" w Łodzi na scenie dziecięcej przedstawiane były wyłącznie prapremiery...

Mamy więc nową, żywą, aktualną i wartościową dramaturgię dla dzieci — czy jej nie mamy?

Opolski festiwal nie odpowiedział na to pytanie, nie wylansował żadnego — nie znanego dotychczas — utworu scenicznego ani autora, nie wskazał nie odkrytych dotąd terenów repertuarowej penetracji. Natomiast podczas długich, a burzliwych festiwalowych dyskusji, wiele mówiło się o konieczności częstszego sięgania po baśnie, które zawierają „ziarno prawdy", i mądrość pokoleń, i pożyteczny morał — a w dodatku, jeśli wierzyć modnemu amerykańskiemu psychiatrze Bruno Bettelheimowi, stanowią doskonałe antidotum na wszelkie fobie i stresy.

Mówiło się także niemało o drogach, którymi kroczy obecnie teatr lalek.

Przykładem wierności lalkarskiej tradycji było przedstawienie „Baśni o pięknej Parysadzie" Bolesława Leśmiana, w reżyserii Edwarda Dobraczyńskiego, scenografii Wiesława Jurkowskiego i z muzyką Andrzeja Bieżana, w wykonaniu Teatru Lalek „Czerwony Kapturek" z Olsztyna; przedstawienie zrealizowane w konwencji lalkowej, w którym aktorzy mogli popisać się swym kunsztem animatorskim.

Spektakl zaprezentowany przez PTL „Pinokio" w Łodzi — „Sen klowna" Janusza Ryla-Krystianowskiego, w reżyserii autora, scenografii Buby Tomali i opracowaniu muzycznym Marka Jaszczaka, przygotowany w oparciu o oryginalny scenariusz, mówi o najbardziej dramatycznych problemach świata, w którym żyjemy, posługując się przy tym językiem współczesnego teatru, jest wyrazem poszukiwania nowych form teatralnych dla przekazania nowych treści. Widowisko to doskonale znane jest łódzkiej publiczności.

Do źródeł polskiego teatru lalek sięgnęła szczecińska „Pleciuga", przedstawiając „Szopkę krakowską" S. i T. Estreicherów, reżyserowaną przez Bogdana Radkowskiego, w scenografii Adama Kiliana i z muzyką Jerzego Dobrzańskiego — widowisko bajecznie kolorowe, roztańczone i rozśpiewane.

I wreszcie — najbardziej kontrowersyjna, pobudzająca do najżarliwszych dyskusji propozycja teatralna Wrocławskiego Teatru Lalek, przedstawiona w ramach imprez towarzyszących festiwalowi: „Iliada", akcja teatralna aktorów i dzieci z fragmentami „Iliady" i „Odysei" Homera, według scenariusza Krystyny Miłobędzkiej i Kazimierza Brauna (reżyseria: Kazimierz Braun, scenografia: Ingeborga Dzaneka, muzyka: Andrzej Dzipiński). Widowisko to, łączące w sobie działania teatralne i parateatralne, w założeniu oparte zostało na podobieństwie pomiędzy umownością dziecięcych zabaw i umownością teatralnych znaków. „Iliada" jest tu tylko pretekstem — choć wrocławskie zdarzenie teatralne nie wykracza poza treści i myśli zawarte w arcydziele Homera — pretekstem do mówienia o okrucieństwie i bezsensie wojny. I kiedy dzieci z ogromnym wysiłkiem budują na scenie mur Troi, który później rozpada się pod naporem konia trojańskiego urastającego do rangi symbolu — uświadamiają sobie niszczycielską siłę wojny. Kiedy obserwują pojedynek wielkich kukieł Achillesa i Hektora a potem biorą udział w rytualnym paleniu na stosie ciał poległych herosów — zaczynają rozumieć, że w wojnie nie ma zwycięzców — są tylko zwyciężeni.

Być może mali uczestnicy akcji teatralnej nazwanej „Iliada" opuszczając Wrocławski Teatr Lalek niewiele będą wiedzieli o utworze Homera i świecie antycznej Grecji — ale z pewnością zapamiętają myśl zawartą w śpiewanym przez aktorów i dzieci przy akompaniamencie gitary dwuwierszu: „stójcie, Trojanie, przestańcie pociski rzucać, Grecy"...

Opolski festiwal nie określił kierunków przyszłych poszukiwań artystycznych w polskim teatrze lalek, ani nie wyznaczył granic jego przeobrażeń formalnych — lecz czyż można mówić o granicach jakiejkolwiek sztuki?

IX Ogólnopolski Festiwal Teatrów Lalek w Opolu miał charakter konkursu. W dziedzinie inscenizacji i reżyserii jedną z dwóch równorzędnych II nagród (pierwszej nagrody nie przyznano) otrzymał Janusz Ryl-Krystianowski, zaś w dziedzinie scenografii taką samą nagrodę przyznano Bubie Tomali — za „Sen klowna", przedstawiony przez PTL „Pinokio" w Łodzi. Mieczysław Dyrda i Tadeusz Wojan, z zespołu „Pinokio" zostali laureatami równorzędnych nagród za kreacje aktorskie.

BOGUMIŁA RZYMSKA

XV, WARSZAWSKIE

Tegoroczne Warszawskie Spotkania Teatralne (3—12.XII 1979), choć jubileuszowe — XV zaskoczyły swoją pozorną, skromnością „zaprogramowaną", jeśli wolno tak się wyrazić.

Z faktu, iż pokazano w Warszawie cztery różne przedstawienia, dając w sumie trzynaście spektakli (jeśli nie liczyć dodatkowych przedstawień przeznaczonych przede wszystkim dla środowiska aktorskiego), łatwo wyprowadzić wniosek, że tegoroczna komisja kwalifikacyjna przedłożyła jakość nad ilość, dbając tym samym o zabezpieczenie dosyć wyrównanego poziomu, zaś prezentowanie jednego przedstawienia przez kilka kolejnych wieczorów umożliwiło obejrzenie go przez kilkakrotnie większą widownię. XV WST były więc festiwalem dla publiczności warszawskiej, za co chwała organizatorom i gospodarzowi, tj. Teatrowi Dramatycznemu, który udostępniając swoją scenę, musiał przerwać własną pracę.

Sprawa druga. Zaproszenie do Warszawy teatrów pracujących poza stolicą wiązało się zawsze z wyborem przedstawień, które według opinii członków komisji kwalifikacyjnej odznaczały się szczególnymi walorami artystycznymi, choć ostatnio (tj. przed rokiem czy nawet dwoma laty), przeważały rozstrzygnięcia kompromisowe. Okazywało się, że trzeba zaprosić jakiś teatr, bo jest bardzo młody, więc pewnie okrzepnie po gościnnych występach w stolicy. Albo warto było podtrzymać na duchu pewną sfrustrowaną dyrekcję. XV WST ominęły podobne praktyki. Dobór repertuaru zasługiwał na szacunek i wdzięczność ze strony widzów, których tym razem potraktowano bardzo serio, nie narażając na męczarnie podczas oglądania szmiry.

Do grudniowych Spotkań zaproszono trzy ośrodki: Gdańsk, Kraków i Wrocław, który pokazywał dwa przedstawienia. Obok repertuaru romantycznego („Nie-Boska komedia" i „Dziady") przywieziono sztukę współczesnego autora („Koczowisko" Łubieńskiego), której wydarzenia związane są ściśle z epoką romantyzmu oraz „rzecz dla teatru w dwóch częściach ułożoną przez Jerzego Jarockiego i Józefa Opalskiego na podstawie tekstów Stefana Żeromskiego, dokumentów epoki i cytatów literackich" („Sen o Bezgrzesznej").

Taki właśnie dobór spektakli stał się nie tylko prezentacją różnych warsztatów reżyserskich czy poetyk, ale odsłonił jednocześnie najistotniejsze wartości współczesnego teatru polskiego. Wykazał mianowicie, że obecnie scena nasza najdobitniej przemawia, gdy posługuje się dramatami narodowymi, bądź tkanką złożoną z różnorodnych struktur literackich specjalnie dla niej (sceny) utkaną. Najbardziej żyzną dla dzisiejszego teatru glebą okazuje się zatem być historia czytana teraz, której bohaterem jest naród, ale i człowiek z jego własnym, jedynym, niepowtarzalnym życiem. Ów Konrad, Henryk czy Pankracy, ustawicznie targani wewnętrznym bólem, próbujący — każdy na swój sposób — uporać się z nim. Tak więc dzieje narodu osobliwie przenikające dzieje poszczególnych istnień służą teraz za fundament przy wznoszeniu rzeczywistości teatralnej.

Niezwykle trudno w paru słowach opisać kształt oglądanych w Warszawie przedstawień. Były one zresztą dość dokładnie recenzowane, co zwalnia mnie od sporządzania takiego opisu. Chciałabym jedynie podzielić się refleksjami, jakie spektakle te wywołały. Przedstawieniem, którego najbardziej niecierpliwie oczekiwałam, były gdańskie „Dziady" w opracowaniu Macieja Prusa. Sposób, w jaki inscenizator odczytał arcydramat Mickiewicza wydaje mi się najdonioślejszą propozycją ze strony teatru od czasu pamiętnej krakowskiej premiery Konrada Swinarskiego. Żałować wypada, że oryginalna i przejrzysta koncepcja Prusa nie zyskała dostatecznego wsparcia ze strony aktorów obsadzonych w prowadzących rolach. Najbardziej chybioną postać, Księdza Piotra, stworzył Andrzej Blumenfeld. Sprzeciw wywołał także Henryk Bista jako Gustaw-Konrad, choć zawdzięczamy mu kilka porywająco zagranych scen. Ciekawie, inaczej od scenicznej tradycji, ustawiona postać Rolisonowej nie zyskała w Halinie Słojewskiej godnej wykonawczyni. Jej matka, nie błagająca o życie syna, lecz żądająca, przypominała bardziej targującą się przekupkę niż dumną Polkę. Interesującą i konsekwentnie poprowadzoną rolą wydał mi się natomiast Senator Zenona Burzyńskiego.

„Koczowisko" wyreżyserowane przez Tadeusza Minca we wrocławskim Teatrze Polskim nie wydobyło możliwości, jakie niesie tekst Łubieńskiego przede wszystkim ze względu na aktorskie realizacje. Korzystnie na tym tle wyróżnił się Kirkor Ferdynanda Matysika. Ów spektakl, którego fabuła osnuta jest na wizycie Adama Mickiewicza w kozackim obozie Michała Czajkowskiego-Sadyka Paszy w Turcji, nie odpowiada na zasadnicze pytanie postawione przez dramaturga: „Bić się, czy nie bić!".

Przedstawieniem, które Jerzy Jarocki poświęcił pokazaniu dochodzenia do niepodległości, a następnie realizacji tej niepodległości w wolnej Polsce jest „Sen o Bezgrzesznej" Konfrontacja marzeń z rzeczywistością, zestawienie losu Konrada z deklaracjami zaborców wobec Polaków, zyskały świetne wsparcie w różnorodności teatralnej materii. Siła tego spektaklu krakowskiego Teatru Starego leży nie tylko we wnikliwych, przejrzystych analizach, lecz również w diagnozach.

O interesującej „Nie-Boskiej" Jerzego Grzegorzewskiego pisałam już na tych łamach przy okazji omawiania Opolskich Konfrontacji („Odgłosy" 1979 nr 16).

W czasie grudniowych Warszawskich Spotkań Teatralnych można było spostrzec zjawisko, które nieśmiało wkracza na nasze sceny. Pojawiają się mianowicie spektakle, których twórcy uznali za celowe nie przedzielać antraktami. Przerw pozbawił swoje „Dziady" Prus (wcześniej zabiegu tego dokonał na własnej inscenizacji „Nocy listopadowej") i swoją „Nie-Boską" Grzegorzewski. Myślę, że nie od rzeczy będzie przywołać tu nazwisko założyciela Reduty, Juliusza Osterwy, który w roku 1924 mówił: „tu na widowni jest jedyny sprawdzian, czy sztuka robi wrażenie, czy nie. Ile razy ktoś przemawia w imieniu publiczności zapytuję go, kto mu dał ten mandat. Bo publiczność jest wtedy publicznością kiedy siedzi na sali, kiedy ma własną psychologię. Z chwilą zaś, kiedy zaczyna się antrakt, czar pryska i wtedy poszczególne sądy stają się indywidualną własnością wygłaszających. Otóż dla nas ma wartość ten sąd publiczności w czasie trwania sztuki, a przestaje nas obchodzić indywidualny sąd, który stanowi krytykę".

GRAŻYNA KOMPEL

NAUCZYCIELE I MUZY

W połowie listopada odbył się w Wieluniu piąty z kolei **Przegląd Zespołów Artystycznych i Grup Twórczych Związku Nauczycielstwa Polskiego** z województw miejskiego łódzkiego, sieradzkiego, piotrkowskiego i skierniewickiego zorganizowany przez Ośrodek Usług Pedagogicznych i Socjalnych ZG ZNP filia w Łodzi. Zaprezentowane zostały różnorakie formy twórczości od obrazów i gobelinów po teatry i orkiestrę symfoniczną. Nie zamierzam tu dokonywać oceny dorobku twórczego nauczycieli, ani też pisać sprawozdania z dwudniowej imprezy, która ściągnęła do sali tamtejszego kina „Syrena" połowę miasta, które — choć kino od miesięcy jest w remoncie i ludziom woda lała się z sufitu na głowy, jako, że jesień nie skąpiła deszczu — okazało się bardzo gościnne. Wymienię wszakże prezentowane tam zespoły. A więc: **Mała Orkiestra Symfoniczna z Sochaczewa, Zespół Słowno-Muzyczny ze Skierniewic, Ludowa Kapela Sieradzka, Teatr „Orfa" ze Zgierza, zespół muzyczno-wokalny z Łasku, chór ZNP, Estrada Poezji i Piosenki oraz Teatr Klubu Nauczyciela „Prom" z Łodzi, kapela podwórkowa z Brzezin, zespół instrumentalno-wokalny z Radomska oraz Artystyczny Zespół Dziecięcy, pabianicki zespół wokalny, chór ZNP z Piotrkowa, zespół wokalny „Świetliki" duet muzyczny ze Zduńskiej Woli, chór mieszany, chór męski „Azymut", żeński zespół wokalny i zespół smyczkowy z Wielunia.** W sumie w przeglądzie wzięło udział 510 osób z 16 klubów ZNP działających w czterech w.w. województwach.

Obok prezentacji zespołów poprawnie wykonujących swoje programy, obok dobrze przygotowanych chórów i recytatorów, dwa teatry — „Prom" z Łodzi i „Orfa" ze Zgierza — sprawiły, że chwilami zapominało się, iż na scenie występują amatorzy. Programy obu teatrów świadczyły o ich ambicjach artystycznych. **„Orfa" zaprezentował błazenadę „Och! Ach!"** — sowizdrzalską uciechę pełną ironii, podtekstów obyczajowo-społecznych, kpin przeplatanych delikatnie serwowanymi umoralniającymi naukami. A wszystko to w wielkim tempie, kolorowe, w ruchu, nie dające widzom czasu na ochłonięcie. Natomiast łódzki **„Prom" sięgnął po rzecz trudną i ryzykowną: wystawił „Lisa" Mrożka.** Tym mniejsze było zaskoczenie efektem. Zresztą za tegoż „Lisa" Elżbieta Hibner, odtwórczyni głównej roli otrzymała I nagrodę na Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Jednego Aktora w Zgorzelcu.

W dobrze pomyślanym programie przeglądu zabrakło mi jednego: większego udziału grupy literackiej działającej przy Klubie Nauczycielskim w Łodzi. Moim skromnym zdaniem jest to ważna forma działalności kulturalnej pedagogów, z których wielu pisze wiersze, prozę, satyrę. Niektórzy są członkami Związku Literatów Polskich, inni czekają na kolejne tomiki, by móc ubiegać się o status pisarza, jeszcze inni czekają na swoje debiuty książkowe. Sądziłem, że mając takie zaplecze pisarskie usłyszę ze sceny niebanalną poezję, nowatorskie opowiadania, ciętą satyrę. Nic z tego. Sądzę, że na kolejny przegląd organizatorzy zaproszą także Muzę Poezji.

W zakończeniu refleksja ogólna: gospodarze Wielunia potraktowali odbywający się przegląd z wielką powagą nie szczędząc sił i środków dla jej prawidłowego przebiegu. Mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych, mimo dziurawego dachu kina, na każdym kroku czuło się życzliwość, troskę o zespoły, o ich zakwaterowanie, nawet o rozrywkę. Okazało się, że Wieluń nie leży gdzieś za górami i lasami, że jest całkiem blisko, że jest to miasto znajdujące się przy głównym trakcie kultury. Rozważając w przyszłości sprawę kolejnego zorganizowania przeglądu zespołów artystycznych ZNP, ja już dziś głosuję za Wieluniem.

EUGENIUSZ IWANICKI

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W 43 nr „Odgłosów" w rubryce „Z galerki" ukazała się fraszka mojego autorstwa pokiereszowana piórem bliżej mi nieznanego poprawiacza, który przypisał mi swój pożal się Boże humorek i swoje myśli, przeciwko czemu z całą stanowczością protestuję.

Moja fraszka brzmi:

GERARD PUCIATO

Pytało pewne rezolutne
dziecko. „Tato,
Czy Gerard to PUCIATO?"

Wersja poprawiacza:

GERARD PUCIATO

Pytało raz dziecko rezolutne:
„Tato,
Czy Gerard (Philipe)
to Puciato?"

Dowód działalności poprawiacza następny. Do nr 49 do tej samej rubryki „Odgłosów" podałem fraszkę:

JERZY FRĄTCZAK

Przypadek, gdy należy
się cieszyć,
Że umie wystawić i powiesić.

Poprawiacz „udoskonala" fraszkę tak:

JERZY FRĄTCZAK

Przypadek, czy należy się
cieszyć,
Że umie wystawić i powiesić.

Panie Redaktorze, bzdura. Bzdura, której ja nie napisałem. Więcej, w drugim przypadku wypaczono moją ideę poddając w wątpliwość umiejętności bohatera fraszki, który w świecie malarskim jest wybitnym i cenionym fachowcem od aranżacji wystaw.

Szanowny Panie Redaktorze, proszę o zamieszczenie tego listu na łamach „Odgłosów". Z nadzieją na lepszą współpracę.

Mieczysław Michał Szargan

Od Redakcji: Ad Puciato: I jedna i druga fraszka jest kiepska. Ale Autor ma rację — należało raczej nie zamieszczać, niż poprawiać. Ad Frątczak: Być może M.M. Szargan miał intencję napisania „gdy". Niestety — w dostarczonym nam maszynopisie widnieje „czy". Szkoda, że tym razem Autor sam się nie poprawił.

P.S. Przykry błąd w numerze świątecznym. Autorami fraszki i rysunku „Z galerki" byli oczywiście Mieczysław M. Szargan i Stanisław Ibis-Gratkowski. Przepraszamy.

odgłosy

redaguje kolegium: JERZY WAWRZAŃ (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MA[illegible]WIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW [illegible]ROWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI

TADEUSZ OLSZEWSKI

„Z najsilniejszymi reflektorami w ręku nie znajdzie się w świecie lepszego dowodu na potwierdzenie prawdziwości romantycznej tezy o zapale, który tworzy cuda".

Foto. R. Łucyszyn

W Łodzi spędziłem dużą część swojego życia. Jeśli mierzyć ją latami, sięga niemal 1/5 jego długości, jeśli jednak przyłożyć do niej miarę wykonywanego zawodu, pokryje się niemal całkowicie z 35-leciem wyzwolenia Łodzi spod okupacji hitlerowskiej.

Ale Łódź pojawiła się w mojej świadomości dużo wcześniej. Jako dziewiąta latorośl z dziesięciorga dzieci A. A. Olszewskich spędziłem trudne (nie proszę jednak o uznanie okoliczności łagodzących) lata wczesnego dzieciństwa, jak to się mawiało na podłódzkiej wsi — „za krowami" na ubogich pastwiskach Nieceni. Był to przysiółek tak mały, że tylko szczegółowe mapy notowały jego obecność w gminie Pruszków. Na tym odludziu, z którego do większych wsi prowadziły tylko wyorane w sypkim piasku koleiny, nazywane szumnie drogami polnymi, pojawili się nagle przybysze z MIASTA ŁODZI. Opowiadali dziwy o ogromnych fabrykach, tłumach ludzi i wielkich wozach pędzących po ulicach bez zaprzęgu koni. Choć to przecież nie zamierzchłe czasy, rzadko kto z Nieceni, oddalonej od Łodzi o niecałe 40 km, miał podówczas sposobność w ciągu długiego życia chociaż raz zajrzeć do podniecającego wyobraźnię MIASTA. Łapczywie więc „wsiowi" słuchali opowiadań o ciężkich chmurach czarnego dymu, w którym ginęły zarysy wież kościelnych, o buchających gorącą i cuchnącą parą fabrykach, o wspaniałych pałacach ukrytych w parkach i ogrodach przed zazdrosnymi spojrzeniami pospólstwa wysokimi murami. I o wielu innych dziwach i dziwadłach.

Pierwszy kontakt dziecinnej świadomości z MIASTEM (słowo to zawsze wymawiali głodujący przybysze z akcentem dumy, zaś „wsiowi" — z nieukrywaną zazdrością w głosie) ŁODZIĄ, nie mógł być zachęcający. Wręcz odstraszająco działały już realne spotkania z Łodzią w wieku młodzieńczym. Był to obraz miasta spaczony niezmiernie, lecz taki utkwił mi w pamięci z niewielu krótkich wizyt w Łodzi międzywojennej. On też spowodował podjęcie decyzji — nigdy nie zamieszkać na stałe w Łodzi. Los postanowił inaczej. Po straszliwych spustoszeniach wojny, wyniszczony obozami i bezdomny, bez przygotowania do sprecyzowanego zawodu, musiałem się na coś zdecydować. Podobnie jak wiele tysięcy innych, wytrącony z życiowego toru i zmuszony do ułożenia sobie nowej drogi, znalazłem się w 1945 roku w Łodzi. Zasiedziali łodzianie mówili jeszcze przez długie lata z patriotyczną dumą, że Łódź wspaniałomyślnie dzieliła się swymi ciasnymi mieszkaniami z bezdomnymi przybyszami z całego kraju i spoza jego granic. Było tak rzeczywiście, ale ja osobiście otrzymałem samodzielne mieszkanie dopiero po 11 latach włóczęgi po najdziwniejszych sublokatorkach.

Nowi przybysze, podobnie jak ci sprzed przeszło wieku, byli Łodzi niezbędni. Na skutek ludobójczej polityki hitlerowskiego okupanta miasto utraciło 1/3 swej ludności. Wyrównanie strat w rozmiarach proporcjonalnych do potrzeb gospodarczych i kulturalnych z własnych zasobów biodemograficznych wymagałoby zbyt wiele czasu. Wykorzystanie dziejowej szansy, jaką przed miastem otwarła rewolucja społeczno-gospodarcza, nie cierpiało zwłoki. Przybysze z zewnątrz stali się tym bardziej nieodzowni, że Łódź już w pierwszych dniach wolności zdecydowała się otworzyć w swych dziejach nową kartę. Nie rezygnując z funkcji największego podówczas ośrodka przemysłowego w kraju, postanowiła rozwinąć u siebie działalność naukową i kulturalną w rozmiarach daleko wychodzących poza rogatki miejskie i granice administrowanego przez siebie regionu. Mogli tego dokonać pracownicy naukowi i twórcy kultury przybywający z zewnątrz, gdyż miejscowych nie było wielu. Nie ulega wątpliwości, że właśnie wielki napływ specjalistów stał się główną siłą napędową największego fenomenu łódzkiego współczesnego pokolenia: tradycyjnie proletariackie miasto, któremu nie szczędzono pejoratywnych przydomków w rodzaju „złe", „bez duszy", „wieś fabryczna", w którym odsetek analfabetów jeszcze do końca okresu międzywojennego bił wszelkie rekordy wśród dużych miast polskich, któremu poprzednie pokolenia nie pozostawiły w spadku niezbędnej bazy materialnej — zajęło w niezmiernie krótkim czasie czołową pozycję w kraju w nauce i kulturze. Nie znam innego miasta w świecie, które pod tym względem wyprzedzałoby Łódź, lub chociaż powtórzyłoby fenomen łódzki.

Moje osiedlenie się w Łodzi przypadło właśnie na początek okresu kulturowej eksplozji miasta. Wzbudza ona tym większe zdumienie, że nic jej nie zapowiadało w pokoleniu poprzednim. Wprawdzie Łódź jako pierwsze miasto w odrodzonej Polsce już uchwałą pierwszej z wyborów rady miejskiej z dnia 2 października roku 1918 zapoczątkowała powszechne nauczanie wszystkich dzieci w wieku szkolnym i w przeciągu trzech lat jako pierwsze (miasto) na terenie byłego zaboru rosyjskiego zrealizowało powszechne obowiązkowe nauczanie, to jednak nie zdołała przełamać niechęci władz centralnych w sprawie utworzenia w mieście wyższych uczelni.

Po 35 latach mogę sobie zadać rzeczowe pytanie: czy i jak uczestniczyłem w tworzeniu fenomenu łódzkiego? Dystans jest już dostatecznie długi, by sine odio et ira pokusić się o odpowiedź.

W 1945 roku nie byłem jeszcze dostatecznie przygotowany do samodzielnej pracy naukowej, gdyż wojna przerwała studia. Miałem już jednak jakieś doświadczenie pedagogiczne, a przede wszystkim młodzieńczy zapał i zamiłowanie nauczycielskie. Z grupą kolegów, łodzian i przybyszów jak ja, przystąpiliśmy do organizacji szkolnictwa przygotowującego nauczycieli. Bez nich bowiem był nie do pomyślenia jakikolwiek rozwój miasta, a cóż dopiero awans kulturalny. Reaktywowane Państwowe Pedagogium przy ul. Lipowej 49 rozrastało się szybko. Tylko ciasnota pomieszczeń nie pozwalała na przyjęcie wszystkich kandydatów do zawodu nauczycielskiego. Gdy oficjalne zabiegi o przydział odpowiedniego budynku przeciągały się zbyt długo, odważyliśmy się na „zajazd". W latach 40-tych nie był to pierwszy ani ostatni akt samowoli tego typu. Nielegalnie, zrywając pieczęcie bardzo groźnego urzędu, zajęliśmy i obsadziliśmy duży budynek przy al. Kościuszki 21. Urządziliśmy w nim sale wykładowe, internat dla młodzieży, a także skromne mieszkania dla wielu bezdomnych nauczycieli i wychowawców. Przy ul. Lipowej pozostała szkoła ćwiczeń dla słuchaczy Pedagogium oraz gimnazjum, które realizując 2-letni program nauczania w ciągu roku prowadziło młodzież do matury. Fakt dokonany bezprawnie, został tak gruntownie zalegalizowany później, że jeszcze do dzisiaj Uniwersytet Łódzki, spadkobierca ówczesnych zdobyczy, musi się z tym gmachem borykać. Pracujący i uczący się w nim obecnie ludzie byliby bez wątpienia bardziej zadowoleni, gdybyśmy znaleźli coś bardziej zgodnego z potrzebami szkolnymi. Na owe czasy jednak był to luksus, który mógł budzić zazdrość.

Pedagogium, twór pośredni między przedwojennym seminarium nauczycielskim, a uczelnią akademicką, chociaż rozwijało się dobrze, nie mogło nas zadowolić na dłuższą metę. Zrodziła się więc myśl utworzenia wyższej szkoły pedagogicznej. W wąskim gronie zapaleńców, nie mających nawet formalnego patentu na podejmowanie działań akademickiej natury, opracowaliśmy koncepcję uczelni i wstępny plan studiów. Wkrótce uczelnia, jako pierwsza tego typu szkoła w Polsce, otworzyła swoje podwoje dla wielu chętnych, a jej siedzibą został gmach przy al. Kościuszki. Przetrwała aż do włączenia do Uniwersytetu Łódzkiego pod koniec lat 50-tych.

Z grupy zapalonych nauczycieli kształcących nauczycieli niestety niewielu już tylko pozostało przy życiu. Odeszli na zawsze Jan Bartecki, główny inicjator i przywódca, późniejszy profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Włodzimierz Hajdrych, przez krótki czas po 1956 roku kurator OSŁ; Wacław Lipiński, niezrównany gospodarz i zaopatrzeniowiec w ciężkich latach powojennych; I. Wójcicki, doświadczony pedagog i organizator, utrzymujący w granicach realiów nadmiernie rozpalone głowy i serca entuzjastów. Obok piszącego te słowa pracuje w Uniwersytecie Łódzkim Piotr Bąk, polonista. Na zasłużoną emeryturę przeszedł już dość dawno Roman Adamczyk, kierownik Szkoły Ćwiczeń, bez której absolwenci Pedagogium i WSP opuściliby mury uczelni bez praktycznych umiejętności pedagogicznych.

Organizatorzy WSP wykonali dobrą robotę dla miasta i jego kultury. Popełnili jednak wielki błąd życiowy. Miast zdobywać dla siebie formalne dyplomy uprawniające do samodzielnych funkcji akademickich (o co podówczas nie było tak trudno, jak obecnie), bez reszty złożyli swój czas i energię na ołtarzu powszechnej oświaty. Drogo za to zapłacili później. Gdy WSP w Łodzi ruszyła, jej twórcy, zrobiwszy swoje, musieli odejść. Dojrzały owoc zrywali inni.

Mnie osobiście władze oświatowe zamierzały przenieść służbowo do Liceum Pedagogicznego w Końskich. Nie miałem, oczywiście, nic przeciwko sympatycznemu miasteczku. Nie mogłem jednak zrezygnować z udziału w tworzeniu akademickiej Łodzi. Właśnie ukończyłem pomyślnie studia w łódzkiej uczelni ekonomicznej. Choć siedziała kątem w Szkole Podstawowej przy ul. Sterlinga 24 i kończyła dopiero budowę gmachu przy ul. Armii Ludowej 3/5, zaczętego przed wybuchem wojny przez Wolną Wszechnicę Polską, Oddział w Łodzi, rozrastała się wręcz błyskawicznie. Angażowała więc licznie chętnych, którzy, nie bacząc na głodowe pensje, mieli ambicje kształcenia młodzieży na poziomie akademickim i rozwijania nauki. Z dniem 1 września 1948 roku wpadłem w nurt nienormowanej (tzn. bez liczenia czasu, jeśli się chce coś wartościowego uzyskać, by przekazać innym) pracy nauczycielskiej, organizacyjnej, naukowej, który pozostał moim żywiołem po dziś dzień.

Dla bardzo wielu ludzi wymieniona kolejność obowiązków stanowiła wówczas po prostu zwykłą konieczność społeczną. Okres pionierski akademickiej Łodzi dobiegał już wprawdzie końca, lecz nastał czas ugruntowania, pogłębienia i poszerzenia w miarę narastających potrzeb działalności Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Łodzi. Przypadło mi w udziale, poza normalną dydaktyką i żywą w owych czasach działalnością społeczną, zorganizowanie i prowadzenie przez kilka lat zaocznych studiów ekonomicznych dla pracujących, pisanie dla ich uczestników skryptów i przewodników metodycznych, których łączna objętość jednego wydania grubo przekraczała 100 arkuszy autorskich.

Bez sięgania do zakurzonych dokumentów nie sposób dziś powiedzieć, ilu dorosłych ludzi w owych trudnych czasach zdobyło akademickie wykształcenie. Były to liczne setki. Do dziś liczba ta urosła w tysiące. Jej wielokrotność stanowili oczywiście ludzie młodzi, którzy bezpośrednio po maturze wchodzili na normalną drogę rozwoju naukowego i przygotowania zawodowego. Absolwenci łódzkiej uczelni ekonomicznej, która w 1961 roku jako Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny połączyła się z Uniwersytetem Łódzkim, tworzyli i tworzą istotny składnik kadr pracowniczych o wysokich kwalifikacjach zawodowych w wielu przedsiębiorstwach oraz instytucjach gospodarczych, kulturalnych, administracyjnych, politycznych. Niektórzy spośród wcześniejszych roczników są dziś profesorami i docentami, młodsi zajmują liczne stanowiska adiunktów i asystentów. Pracują w Łodzi i jej regionie, rozproszyli się po całym kraju, pełnią odpowiedzialne funkcje w różnych placówkach zagranicznych. Spotykałem dawnych swoich uczniów nad Sekwaną, nad Renem i Tybrem, w Pekinie i Szanghaju. Wiem o takich, którzy dotarli do Australii i Nowej Zelandii, że nie brak ich w obu Amerykach, w Azji i Afryce. Funkcje, jakie pełnią, są niemal równie różnorodne, jak szeroki jest wachlarz potrzeb nowoczesnego społeczeństwa.

Nie mniejszy i nie mniej znaczący udział w kształceniu na poziomie akademickim dziesiątków tysięcy młodych ludzi dla gospodarki i kultury narodowej mają pozostałe wydziały uniwersyteckie oraz inne uczelnie wyższe. Łódź, znana w Polsce i na świecie od dziesiątków lat jako wielki ośrodek przemysłowo-handlowy, bez wielkich dzwonów, pokonując niewyobrażalne dla postronnego obserwatora trudności, wyrosła na dynamiczne centrum nauki i kultury. Stało się to w przeciągu zaledwie jednego pokolenia. Z najsilniejszymi reflektorami w ręku nie znajdzie się w świecie lepszego dowodu na potwierdzenie prawdziwości romantycznej tezy o zapale, który tworzy cuda.

Byłoby, oczywiście, śmieszną megalomanią, gdybym o powstaniu i rozkwicie Łodzi akademickiej przypisywał sobie jakąś szczególną zasługę. Podobnie jednak zakrawałoby na nieszczerą skromność, gdybym nie widział siebie jako jednego z tysięcy ludzi oddanych sprawie kształcenia umysłów młodzieży od stopnia podstawowego po uniwersytecki, a więc także jednego z współtwórców Łodzi akademickiej. Były i są w naszym mieście nazwiska, o których głośno w Łodzi, w Polsce i poza jej granicami. Nie mogłyby jednak nigdy zabłysnąć, gdyby tysiące niemal bezimiennych nie stworzyły bazy intelektualnej, organizacyjnej, socjalnej dla ich sukcesów. Jeśli więc mam odwagę, na zaproszenie redakcji „Odgłosów", przedstawić mój udział w 35-letnim rozwoju Łodzi, to czynię to wyłącznie z intencją głębokiego uznania i wdzięczności, jakie się należą właśnie bezimiennym. Bez nich bowiem nawet najwybitniejsze jednostki niewiele by uczyniły.

Wielu twórcom akademickiej Łodzi los nie oszczędził głębokich rozczarowań, a nawet tragedii osobistych. Pochłonięci bez reszty sprawami organizacyjnymi i administracyjnymi, adaptacją starych budynków do potrzeb pedagogicznych i naukowych oraz budową nowych gmachów, bieżącą dydaktyką, opieką nad powierzoną im młodzieżą, zapominali o własnej pracy naukowej, lub też nie znajdowali po prostu już dla niej czasu ani energii. A przecież na odtwarzaniu i przekazywaniu tylko cudzej wiedzy rzadko wyrasta pełnowartościowy nauczyciel akademicki. Gdy uczelnie łódzkie weszły w normalny rytm swego funkcjonowania, liczni pionierzy musieli odejść, nie bez racji — z poczuciem krzywdy i upokorzenia. Prawa postępu i rozwoju są jednak nieubłagane. Nawet dobra wola (nie zawsze obecna), sukcesorów nie jest w stanie w pełni honorować zasług inicjatorów wyzwolonego procesu. Słuszne jest jednak, by w refleksjach wywołanych 35-leciem Polski Ludowej, przeżywanym w naszym mieście, tym wszystkim pionierom złożyć należny hołd.

Uniknąłem przykrego losu kolegów nie dlatego, że byłem lepszy niż oni, lub że mniej niż oni angażowałem się w sprawy tworzenia akademickiej Łodzi. Po prostu funkcje organizacyjno-administracyjne zawsze uważałem tylko za twardą konieczność. Korzystałem też z każdej sposobności i wolnej chwili, by choć coś niecoś przydać do skarbnicy wiedzy tworzonej w naszym mieście. Opracowywałem więc i publikowałem podręczniki akademickie, na których uczyły się liczne roczniki studentów i nauczycieli.

W dziedzinie wiedzy podstawowej skupiały zawsze moją uwagę problemy relacji między społeczeństwem i środowiskiem przyrodniczym. Wyniki tych dociekań znalazły wyraz w książce „Człowiek i jego środowisko. Ekologiczne podstawy społecznego bytu". Ukazała się w czasie, gdy jeszcze w Polsce nie ruszyła z miejsca lawina publikacji na temat ochrony i kształtowania środowiska naturalnego. Nie był to zapewne bestseller, ale 10 tysięcy nakładu rozeszło się szybko, a liczni recenzenci uznali ją za dzieło pionierskie i odważne.

Jedna z późniejszych moich książek „Współczesne problemy gospodarki żywnościowej świata", choć nie ma w tytule słowa „ekologia", podejmuje jeden z kilku tematów przedstawionych w poprzedniej publikacji. I tę książkę wielokrotnie omawiano w periodykach, m.in. w „Ekonomiście" i w prasie codziennej.

Pasją mojej pracy naukowej była od lat, i jest nią nadal, dążność do możliwie ścisłego współdziałania z praktyką społeczną i gospodarczą w środkowej Polsce. Wyznacza ją obszar w promieniu kilkudziesięciu kilometrów okalający Łódź, wielkie centrum gospodarcze, naukowe i kulturalne. Administracyjnie ulegał on zmiennym podziałom (których nadal nie można uznać za ostateczne), lecz funkcjonalnie zawsze się wiązał ze swoją niepisaną stolicą we wzajemnie sprzężony układ. Poznanie możliwie wszystkich jego elementów oraz powstających między nimi relacji stanowi nie tylko przedmiot nad wyraz interesujących dociekań naukowych. Dostarcza także obiektywnych podstaw do podejmowania prawidłowych decyzji polityczno-gospodarczych o strategicznym znaczeniu. Dużo czasu i energii poświęciłem już tej problematyce, publikując na jej temat różne studia i rozprawy, redagując „Region Łódzki. Studia i Materiały".

Choć łatwiej i spokojniej pracuje się w zaciszach gabinetów i bibliotek, niż w atmosferze napięć i nieuchronnych konfliktów, składających się na praktykę codzienną, użyteczność społeczna osiągniętych w badaniach wyników rekompensuje w pełni poniesiony trud. Czasami zdarza się także coś, co osobistej świadomości należycie spełnionego obowiązku nadaje walor obiektywny. Z tą właśnie satysfakcją przyjąłem zaszczytne wyróżnienie mnie listem I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, Edwarda Gierka, wyrażającym mi uznanie za „aktywny udział w służbie dla Rzeczypospolitej Ludowej, wiedzę, doświadczenie i zaangażowanie w sprawach publicznych". Podobną satysfakcję przyniosła mi Nagroda Województwa Łódzkiego, potwierdzająca oficjalną uchwałą WRN „wybitny wkład pracy naukowej w rozwój społeczno-gospodarczy" ziemi łódzkiej.

Nie mam, oczywiście, najmniejszych złudzeń, że na zaszczytne wyróżnienia zasłużyłem sobie jakąś szczególną działalnością lub nadzwyczajnymi odkryciami. Stanowiły one formalny wyraz uznania dla wszelkiej pracy naukowej w służbie społeczeństwu, jakim władze polityczne i państwowe darzą ludzi zaangażowanych. W akademickiej Łodzi są ich liczne setki, a może tysiące. Nie inaczej jest we wszystkich ośrodkach akademickich naszego kraju. W Łodzi jednak, jak sądzę, atmosfera społecznego zaangażowania uczonych może być żywsza niż gdzie indziej. Nie wygasł jeszcze bowiem duch pionierstwa, który tworzył fenomen łódzki. Uczeni w Łodzi nie mogą także nie poddawać się stymulacji ze strony wielosettysięcznych rzesz robotników płci obojga, którzy już od pokoleń nie szczędzą trudu, by Łódź, nasze miasto, rosła bezustannie.

Prof. dr hab. Tadeusz Olszewski jest kierownikiem Zakładu Gospodarki Przestrzennej w Instytucie Polityki Regionalnej na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ.

PRZESIADKA W RZGOWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

portal w wieży i ołtarze ma barokowe, ambonę zaś i stalle — klasycystyczne), plebania i gmach nowego urzędu gminy.

Do niedawna przez Rzgów przejeżdżało się tramwajem z województwa do województwa, czyli z Łodzi do Tuszyna. Porozsadzani w ławkach tuszyniacy spoglądali z wyższością na rzgowian i mówili z nutą pogardy: byle tylko wydostać się z tej cholernej gęsiej osady. Coś w tym jest, bo podczas każdej większej uroczystości plastyk Depczyński umieszcza na dekoracjach gęś. Podobno niegdyś łąki nad Nerem były białe od gęsi, a suszonymi gęsim nawozem palono nawet w piecach.

Ale czasy się zmieniły. Nie ma gęsi i nie ma tramwaju do Tuszyna. Chcąc dostać się do Tuszyna, a z Tuszyna do Łodzi, trzeba się w Rzgowie przesiadać z tramwaju do autobusu i odwrotnie. Przystanek znajduje się przed kościołem drzwi autobusu otwierają się wprost na rachityczny żywopłot, ludzie łamią go i pędzą na łeb, na szyję, przez pięknie utrzymane skwery, które niebawem przemienią w piękne klepisko do tramwaju przy ul. Tuszyńskiej. Tak więc dzięki tej przesiadce Rzgów zyskał na znaczeniu. Ma krańcówkę tramwajową, która nie oznacza krańca świata, ma napływ klienteli do licznych małych sklepików i rozrzuconych punktów usługowych, ale też i traci, bo autobusy i ludzie niszczą mu ulice i piękny zabytkowy rynek, ze stylowymi kamieniczkami, których nie wolno rozbierać, bo trzeba zachować dawny koloryt. Jeżeli rzgowianie nie złamią nakazów architektów, to zrobią to za nich hałas, wstrząsy i spaliny.

W 1967 roku Rzgów obchodził hucznie 500-lecie nadania praw miejskich. Na pamiątkę pozostał kamień z pięknie wyrytym napisem, a gliniasty rynek, na którym kopaliśmy piłkę z panem Stachowiczem, piekarzem — sportowcem, zamienił się w skwery z kwiatami, alejkami, i ławeczkami. Wcześniej inżynier Chrabelski zaprojektował stadion, który szybko zbudowano, w znacznej mierze w czynie społecznym. Chłopcy kopią jeszcze piłkę, ale bieżnia zarosła trawą, bo Piotrek Salski, główny inicjator i organizator zawodów sportowych, najpierw został inżynierem, później ojcem dzieciom, jego żona, Agnieszka, naukowiec anglista, wyjeżdża za granicę, a Kazik Siutowicz, który starał się podtrzymać sportowe tradycje, ożenił się w Gospodarzu.

Przez kilka lat po jubileuszu w Rzgowie nic się nie działo, potem jednak, po roku 1970, coś drgnęło. Zbudowano wreszcie ładny, piętrowy budynek urzędu gminy, gdyż ze względu na reformę administracyjną stało się to potrzebą chwili, rozbierając jednocześnie szpecącą rynek czarną, odrapaną wspinalnię strażacką. Powstało nowe województwo miejskie i Rzgów znalazł się jak gdyby bliżej Łodzi. Ale z charakterystycznym znamieniem wsi i miasteczek byłego powiatu, których w ogóle nie dostrzegano, inwestując w rozwój i mechanizację rolnictwa powiatów bardziej odległych, zasobniejszych w lepsze ziemie i większe gospodarstwa. Charakterystyczne, że ta spuścizna pokutuje do dziś, a paradoks polega na tym, iż najsłabiej widzi się bliskie, podmiejskie gminy.

Obecna przesiadka z tramwaju do autobusu zapoczątkowała w Rzgowie także „przesiadkę" na inny sposób myślenia; przesiadkę ze starego na nowe, z prymitywnej dłubaniny do modernizacji.

Łatwiej jednak zbudować fabrykę niż zmienić sposób bycia i ludzkie myślenie. Kiedy rankiem, po cichych uliczkach snują się staruszki, co przeżywszy już swoje pociechę znajdują w modliwie, dwa przystanki tramwajowe przy Tuszyńskiej oblegają uczniowie z tarczami szkół ogólnokształcących i zawodowych na ramionach, młodzi ludzie w czapkach studenckich, inżynierowie, lekarze, urzędnicy. To jest jeszcze jedna „przesiadka". Rzgów liczy 3500 mieszkańców i przynajmniej połowa z nich pracuje w Łodzi lub Pabianicach. Rzgów stanowi dla nich hotel, z którego przesiadają się wprost do tramwaju.

Wiesława Leszek, dyrektor Gminnego Ośrodka Propagandy i Kultury, poważnie wspiera w pracy I sekretarza KG PZPR, ale hasła, przygotowania tras podczas obchodów, organizacja akademii, wieczornic — to jej jeszcze nie zadowala. Jak zainteresować życiem kulturalnym ludzi, którzy wolą telewizję, a jeśli mają wyższe aspiracje, to w każdej chwili mogą wsiąść w tramwaj i pojechać do Łodzi na koncert albo do teatru? Trzeba mieć dużo pieniędzy, żeby ściągnąć do Rzgowa artystów z prawdziwego zdarzenia.

— Fundusze są raczej skąpe — mówi Wiesława Leszek — **a ponadto brak odpowiedniej sali widowiskowej. Myślę jednak, że w niedalekiej przyszłości to się zmieni. Na razie nie możemy sobie pozwolić na nową inwestycję, ale możemy zdobyć się na remont. Po Ośrodku Zdrowia w starym budynku zostało wiele pomieszczeń i dość duża sala, gdzie dotychczas grano w ping-ponga. I ja się tam właśnie przeprowadzam, a razem ze mną biblioteka gminna. Jestem nieźle wyposażona w środki audiowizualne, toteż myślę, że ten budynek może dobrze spełniać rolę Domu Kultury. A w osiemdziesiątym roku przy wjeździe do Rzgowa, tuż za posiadłością Kacperskiego, stanie reprezentacyjna strażnica OSP, oczywiście przy społecznym udziale mieszkańców. Parter zajmą strażacy, natomiast piętro — wielka sala widowiskowa, która w znacznym stopniu rozwiąże nam problem kultury.**

Leszkowa ze swoją energią, wykształceniem pedagogicznym i zacięciem plastycznym wiele może zdziałać, ale sama, choćby zorganizowała najlepiej życie kulturalne, nie dokona generalnych przeobrażeń w gminie. Bo gmina to przede wszystkim produkcja rolna i ponad 2,5 tys. gospodarstw chłopskich, drobnych (około 70 procent przeciętnie po 2—4 ha), gdzie przynajmniej w co trzecim pracuje ktoś w przemyśle lub w urzędzie.

Zofia Żytowiak, sekretarz rolny KG, jest w gminie od niedawna. Biorąc na siebie sprawy rolne, pozwala I sekretarzom zająć się wnikliwiej problemami ludzkimi.

— Problem dwuzawodowych wcale nie jest najważniejszy — stwierdza Żytowiakowa. — **Niektórzy „dwuzawodowcy" prowadzą lepiej gospodarstwa niż słabi rolnicy. A takich jest, niestety, jeszcze sporo. Jedna sprawa wyszła w gminie znakomicie. Otóż, po zlikwidowaniu obowiązkowych dostaw przez kilka lat skupowała mało płodów rolnych. W ostatnich trzech latach kontraktacja zbóż, kapusty, ziemniaków wzrosła aż pięciokrotnie. Wzrosło także pogłowie bydła i trzody, w produkcji mleka zajmujemy jedno z czołowych miejsc w województwie. Mamy 118 gospodarstw specjalistycznych, w roku 1980 będzie ich 150. Musimy mieć jak najwięcej dobrych rolników.**

— Czy przyczyna słabości wielu gospodarstw leży w starzeniu się rolników i ucieczce młodzieży do miast?

— Nie tylko. Jak podciągać słabe gospodarstwa, gdy w gminie nie ma obsady etatów w służbie rolnej? Rejon Guzew — Prawda — Rydzynki nie ma np. instruktora. Ludzie dojeżdżają z drugiego końca Łodzi, a jak przyjdzie ostra zima, to już ich nie ma. Niezbędne są więc mieszkania dla instruktorów i lekarzy weterynarii w samym Rzgowie. Ostatnio w Starowej Górze zlikwidowano 120 działek, zagospodarowanych i wydzielonych niezgodnie z przepisami. Byli właściciele zasypali fundamenty i posadzili i teraz ziemi tej nie można już uprawiać. Ale można zbudować domki dla kadry gminnej.

— A co z rentami i emeryturami? Spłynie wam sporo ziemi do zagospodarowania.

— No, właśnie! SKR nie będzie w stanie zagospodarować wszystkiej ziemi, bo komasacja to nie taka łatwa sprawa. Trzeba będzie pomyśleć o założeniu spółdzielni produkcyjnych w samym Rzgowie i w rejonie Prawdy i Guzewa.

Rozejrzałem się trochę po Rzgowie porozmawiałem z ludźmi i okazało się że kilka spraw budzi wątpliwości. Na przykład przydział prezydencki mieszkań w Łodzi dla kadry gminnej. Dwóch instruktorów otrzymało mieszkania na Widzewie popracowało dwa miesiące w Rzgowie i wchłonął ich kombinat szklarniowy w Janowie. Pracownicy urzędu gminy mieszkający w mieście nigdy nie zwiążą się na stałe z terenem. A więc wybudować dla nich bloki w Rzgowie? Nie ma funduszy, a poza tym są przeciwnicy tej koncepcji. Dać im więc kredyty, materiały, kawał płaszczystej ziemi i niech budują sobie domki. Ale nie w Starowej Górze bo stamtąd jeździ czerwony autobus MPK do Łodzi. Starowa Góra nie chciała należeć do gminy w Rzgowie...

Inna sprawa to wysoka obecnie kontraktacja. Gminę to cieszy i denerwuje bo filia Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej absolutnie nie wywiązuje się z umów. To jest nieuczciwe. Indolencja WSOP doprowadziła do tego że rozgoryczeni rolnicy chcieli wysypać nie przyjętą kapustę przed urzędem gminy. Ludzi drażnią również „pseudorolnicy", co mają kawał ziemi, a mieszkają w mieście. Zbliżają się dożynki, a u takiego zboże stoi na polu. Szuka się faceta, w Łodzi nie ma go pod wskazanym adresem, bo wyjechał za granicę...

Jeżeli gmina boryka się z trudnościami kadrowymi, potrzebni są odpowiedni ludzie, którzy mimo braków zapewniliby sprawne funkcjonowanie urzędu. I tacy są w Rzgowie, jak chociażby sekretarz biura, Antoni Adamus, a przede wszystkim nowy naczelnik, Konstanty Młotkiewicz, który stara się zrozumieć ludzkie sprawy i gdy przychodzą interesanci, nie zatyka palcami uszu i nie ucieka do swojego gabinetu. Taki jak Młotkiewicz nie zbudowałby wąskiej kładki na Nerze w miejscu starego mostu, i to za grube pieniądze, żeby potem rolnicy z Gadki klęli i pomstowali, bo dzięki tej kładce muszą jechać kilka kilometrów przez most przy Skrajnej, żeby dostać się na swoje pola.

To, że wiele spraw udaje się w gminie zrealizować, zawdzięczać należy dobremu aktywowi. Z inicjatywy KG PZPR zorganizowano filię WUML, który ukończyło 65 osób — członków partii i ZSL, w tym wszyscy kierownicy jednostek gospodarczych i administracyjnych. Zawsze można polegać na takich ludziach, jak Jadwiga Derach, sekretarz POP w GS, jak dyrektor SKR — Paprocki, Rajczak, jak starszy referent d.s. KGW — Halina Cyrulska czy lekarz weterynarii, Feliks Grzelak, który w swojej praktyce „zajeździł" już kilka motocykli i samochodów docierając do najodleglejszych wsi w najbardziej podłą pogodę, poznał bolączki chłopów i zawsze przedstawia je w gminie i w komitecie.

Jeżeli gmina jest słabo uprzemysłowiona, nie cierpi na nadmiar funduszy, maszyn i urządzeń, to szansą na realizację zamierzeń gospodarczych są dobrze zorganizowane czyny społeczne. Zastanawiałem się wraz z wieloma rozmówcami nad tym, co decyduje, iż na wsi czyny społeczne są tak powszechne i spontaniczne. Wychodzi na to, że w mieście poczucie wspólnoty, solidarności i wspólnego dobra jest o wiele mniejsze niż na wsi. W mieście, gdy się komuś nabierze wody lub śniegu do butów, zaraz pisze się skargi do gazet na dozorców, na gospodarkę komunalną i ROM. Na wsi natomiast, kiedy śnieg zasypie drogę, chłop sam musi zadbać o własne interesy. I dlatego wszyscy oczyszczają drogę, bo chcą, żeby im dowieziono produkty do sklepu, żeby mogli sobie przywieźć węgiel i żeby odebrano od nich mleko, bo inaczej poniosą straty.

Na współczesnej wsi ważną rolę zaczynają odgrywać dobre drogi, bo one gwarantują lepszy transport i połączenia komunikacyjne, na wsi bowiem czas liczy się podwójnie. Nie należy się więc dziwić, że Kazimierz Włodarczyk, dyrektor szkoły w Guzewie, już od dziesięciu lat walczył o drogę z Gospodarza do Prawdy i o autobus, wykorzystując w tym celu całą swoją energię, zdolności krasomówcze i zacięcie publicystyczne. Włodarczyk doczekał się tej drogi (5 km asfaltu), gdy do Rzgowa przyszedł nowy naczelnik. Jak Młotkiewicz i I sekretarz KG, Kazimierz Frątczak, wykombinowali brakujący milion złotych, pozostanie ich tajemnicą, ale trzeba podkreślić, że najważniejsza była w tym przedsięwzięciu dobra wola Łódzkiego Kombinatu Budowy Dróg. Potem była wstęga do przecięcia, szampan i pikiety, które częstowały kielichem każdego, kto wjeżdżał na nową drogę. Wieś Prawda bawiła się przez noc, a nazajutrz pod wodzą sołtysa, Lucjana Leszka, komendanta OSP Marchewczyńskiego i gospodarza strażnicy, Ryszarda Rosowskiego stanęła do rozwożenia szlaki na drodze przez wieś. Mężczyźni wozili tę szlakę, zakładali kręgi przed remizą, żeby wykonać podjazd, a kobiety na czele z Ireną Sztandorową grabiły i wyrównywały. I tak powstało 1200 m dobrej, utwardzonej drogi. Warto wspomnieć, iż remiza strażacka powstała także w czynie społecznym, jeszcze za czasów komendantury Tadeusza Popy. Koszt wynosił 560 tys. złotych, a z funduszu prewencyjnego otrzymali tylko 120 tysięcy. Zresztą podobnym sposobem wzniesiono strażnicę we wsi Gospodarz.

Foto: Archiwum

Pozostaje pytanie, czy Prawdzie, wsi starzejącej się, gdzie trzecią część gruntów przekazano do PFZ, potrzebna była taka piękna, asfaltowa droga. Otóż mostek na Dobrzynce był słaby, a droga tak rozwalona, głównie przez ciężkie ziły, co wywoziły żwir z kopalni w Babichach, że do Prawdy nie mogło dojechać ani pogotowie, ani straż pożarna. Dojazd potrzebny był także do pobliskich Rydzynek, gdzie jest ładnie zagospodarowany teren rekreacyjny. Ponadto w 1985 roku zbuduje się w Rzgowie gminną szkołę zbiorczą, przeznaczając stary budynek na żłobek i przedszkole. Wtedy zlikwiduje się szkołę w Guzewie i dzieci z Babich, Czyżeminka, Rydzynek, Prawdy trzeba będzie dowozić do Rzgowa. A więc droga jest niezbędna.

Do niedawna PGR w Sgreczynie zatykał dziury w moście... obornikiem. Raz traktorzysta tam się obsunął i wpadł do rzeki. Jeżeli teraz naczelnik gminy Pabianice, Mirosław Krata, a jest to człowiek słowny, solidny, zbuduje kawałek drogi asfaltowej przez las i doprowadzi do porządku most, to przez Prawdę i Guzew będzie mógł jeździć autobus PKS.

Kazimierz Włodarczyk, o którym mówią, że ma niewyparzoną gębę, ale jest dusza człowiek, wraz z młodzieżą przyczynił się do zbudowania drogi z Gospodarza do Czyżeminka. Pracowali przy niej rolnicy z Czyżeminka, m. in. Jan Agatka i Kazimierz Depcik oraz strażacy z Gospodarza: komendant Zdzisław Bekier, Hieronim Gralewski, Henryk Jurek czy Józef Drożdżecki, przodujący rolnik w gminie, pracowity, służący innym pomocą.

Gadka Stara zafundowała sobie w czynie społecznym chodniki, ale nic dziwnego, skoro działają tam tak ofiarni rolnicy, jak Tadeusz Deląg, Janeczek, Stefan Jałocha i „kobieta do wszystkiego" — Wiesława Pietrusińska. Niebawem powstanie nowa droga w Guzewie. I jeżeli tam rolnicy by się ociągali, to na pewno popędzą im kota siostry Nowakowe — Irena i Stanisława.

W czynie społecznym powstało 4 km drogi z Huty Wiskickiej do Bronisina. W pierwszym czynie partyjnym, w którym brali udział także pracownicy urzędu gminy i GS, zbudowano drogę z Romanowa do Pałczewa i teraz jeździ tam autobus, zabierając ludzi do pracy.

Pytam I sekretarza KG, tow. Kazimierza Frątczaka:

— Jak to się robi? Wystarczy zwieźć zimą szlakę i udostępnić nieodpłatnie rolnikom, żeby wiosną mogli rozrzucić i wyrównać?

— To też ważne. Ale najbardziej istotna jest tutaj dobra koordynacja pracy Urzędu Gminy i Gminnej Rady Narodowej. Dzięki temu łatwiej można popierać, rozszerzać i propagować wiele inicjatyw społecznych. Nieźle to nam wychodzi, ponieważ znajdujemy oparcie w kobietach, z KGW. Dużo nam pomaga ZBoWiD, dobrze też układa się współpraca z sołtysami. A jeśli chodzi o czyny społeczne, to mogę dodać, że pracownicy SKR zbudowali społecznie filię w Starowej Górze, remontując budynek po starym kółku rolniczym i utwardzając nawierzchnię placu pod maszyny. SKR zamierza także rozbudować zaplecze techniczne w Rzgowie. Myślę, że Ośrodek Zdrowia i aptekę zbudowano pośrednio w czynie społecznym, bo ze składek NFOZ. Potem KGW, ZBoWiD, pracownicy gminy i GS pracowali przy porządkowaniu terenu i sprzątaniu pomieszczeń.

— Ośrodek Zdrowia i apteka przy Ogrodowej są chyba najładniejszymi obiektami w Rzgowie. Szkoda tylko, że ich nie widać.

Frątczak uśmiecha się z zakłopotaniem.

— No cóż, ryneczku nie wolno nam było ruszyć. Ale mamy już zgodę na budowę, obok Urzędu Gminy, piętrowego domu towarowego. Po drugiej stronie ulicy są dwa pawilony: spożywczy i odzieżowy. Zlokalizujemy w nich punkty usługowe. Dzięki temu będziemy mieć centrum administracyjno-handlowo-usługowe. Roboty sporo, poczta np. musi mieć większe pomieszczenie, trzeba też usprawnić telefony.

— To was dopiero czeka. Ale jest już coś, czym można się pochwalić. Pierwszy wodociąg w gminie...

— To się zaczęło od przyśpiewki. W 1976 roku na dożynkach gminnych był I sekretarz KŁ, tow. Bolesław Koperski. Kobiety z KGW w Grodzisku w jednej z przyśpiewek ogłosiły, że nie mają wody w studniach. No i już za tydzień odbyła się narada z udziałem „Wodrolu". W Grodzisku zebrała się grupa działaczy: Stanisław Modranka, Janina Stryjeńska, Maryla Bartoszewska, Jan Bik i przewodnicząca KGW — Berczakowa. Zadeklarowali 50 proc. wkładu pieniężnego, co stanowiło 2.200 tys. zł, oraz prace społeczne: przywóz materiałów, rur, cegły, kopanie i zalewanie fundamentów pod hydrofory. Koparka pociągnęła rów i Grodzisko ma 3 km sieci wodociągowej. To tak podziałało, że budowę wodociągu podjął już Bronisin. Kalino ma już hydrofornię, do tego samego przymierza się Kalinko. Ale my mamy w gminie coś lepszego! Otóż w Romanowie rozpoczęliśmy adaptację budynku starej szkoły. Jeśli otrzymamy pomoc z Łodzi, będziemy mieć pierwszy w województwie łódzkim dom rencisty dla rolników.

— Chodząc po uliczkach Rzgowa widzi się wiele pięknych, nowych domów, w kolorowych elewacjach, ładne ogrodzenia, zadbane ogródki. Ale są też stare chałupiny, brudne podwórka, połamane chodniki.

Sekretarz Frątczak pociera w zamyśleniu czoło, na jego szerokiej śniadej twarzy pojawia się wyraz zatroskania.

— To poważna sprawa. W samym Rzgowie czyny społeczne nie były tak popularne, jak na wsiach. Kiedy przyszedłem tutaj w 1974 roku, organizacja partyjna liczyła 127 członków i kandydatów. Dzisiaj jest ich już 418. Podejrzewam, a nawet mam pewność, że w łódzkich i pabianickich zakładowych organizacjach jest drugie tyle rzgowian. Jeśli weźmiemy pod uwagę dalsze setki zatrudnionych w mieście, to kto ma w Rzgowie robić te czyny społeczne? Ale już coś drgnęło. Rzgowianie będą pomagać w budowie strażnicy za 4,5 mln złotych. Zadeklarowali też czyny w budowę wodociągu. To trudna sprawa, labirynt wąskich uliczek i kilometry sieci ale trzeba będzie się za to wziąć. No i co najważniejsze — do roboty zaczyna garnąć się młodzież...

To dobrze. Bo dotychczas cała robota społeczna spadała na barki starszych, takich jak Górecki Stanisław Wankiewicz, Tadeusz Lukas oraz emerytowany kierownik szkoły, Feliks Śmiechowicz, który chlubi się tym, że wydał tysiąc świadectw ukończenia podstawówki, ale nie może przeboleć, iż jedno wydał przez pomyłkę, właśnie dla mnie.

Burzliwy rozwój gospodarczy spowodowany powstaniem łódzkiego okręgu przemysłowego nie objął Rzgowa. Dziś w gminie liczącej 8 tys. mieszkańców jest tylko w zasadzie jeden maleńki zakład przemysłowy: filia łódzkiej Spółdzielni „Elkon". Proponowano rzgowianom kierownicze stanowiska na miejscu, ale oni wolą jeździć do Łodzi, i to za niższe wynagrodzenie. Być może szansą na zatrzymanie ich jest uprzemysłowienie gminy. I w tym kierunku robi się już pierwsze kroki, np. w Gospodarzu rozpoczęto budowę warsztatu naprawczego (kowalstwo, naprawa maszyn i ciągników). Sprowadzono już potrzebne elementy z NRD.

W gminie myślą także o stworzeniu przedsiębiorstwa transportowego, które można by zlokalizować na kilku hektarach piasku pod Babichami. Na razie pod Babichami, w rozwidleniu dróg, jakiś odważny człowiek buduje prywatny zajazd za 6,5 miliona. Dla kogo? Ano dla tych, którym trudno byłoby zabawić się w Łodzi albo w Tuszynie. I pewnie dla tych, co chętnie wybraliby się tutaj na podryw pięknych rzgowianek.

Ale Rzgów słynie nie tylko z ładnych dziewczyn. Rzgów szczyci się dziesiątkami wykształconych, utalentowanych ludzi. Konstruktorów, budowniczych, lekarzy, inżynierów, którzy zajmują eksponowane stanowiska nie tylko w Łodzi, ale i w Warszawie. Gdyby część z nich udało się zatrzymać i gdyby wszyscy zebrali się w kupę, to mogliby dokonać w Rzgowie cudów. Bo czego jak czego, ale dumy i ambicji rzgowianom odmówić nie można.

RYSZARD BINKOWSKI

INNY PEJZAŻ

Dalszy ciąg ze str. 1

toria. Dym był kiedyś synonimem Łodzi. Ale choć dziś jeszcze powietrze tu nie najczystsze, to przecież inny synonim tworzy współczesna Łódź.

Jaki?

Nie umiem na to odpowiedzieć. Ale kiedy podniesiemy głowę znad naszych codziennych trosk i uważnie przyjrzymy się miastu, w którym przecież żyjemy, to dostrzeżemy jego inność. Nie bury dym już jest dziś kolorem Łodzi, nie zwarte domy ograniczają perspektywę. Ale właśnie kolor, jasność tynków, przestrzeń urbanistycznych rozwiązań tworzy nowy, współczesny pejzaż miasta.

Chodzimy utartymi szlakami. Z domu do pracy, z pracy do domu, czasem do kina, na spacer, do rodziny, do znajomych. Aż pewnego dnia coś zmusza nas do wyjścia poza utarty szlak i wtedy na nowo odkrywamy miasto. — Ileż tu się zmieniło — mówimy, zaskoczeni wielkością i tempem przemian. Potrzeba takiej okazji, aby odkryć Łódź na nowo.

2.

Są okazje, które zmuszają do takiej wycieczki w teraźniejszość. Dla 405 delegatów wojewódzkiej organizacji partyjnej taką okazją był mandat na XXI Łódzką Konferencję Partyjną. Jednym z jej celów była ocena tego, co w mieście i województwie dokonano w ciągu ostatnich dwu lat. Delegaci musieli inaczej spojrzeć na swoją dzielnicę, osiedle, fabrykę, instytucję, wieś, miasto, na województwo. Do tego zobowiązywał ich mandat delegata.

Wiele było więc w wypowiedziach dyskutantów dumy i zadowolenia z tego, co się w Łodzi i województwie dokonało. Podkreślali oni, że Łódź jest już innym miastem i że stało się to za naszą przyczyną, jest to wynik naszej pracy. Mówił też o tym w referacie I sekretarz KŁ PZPR — BOLESŁAW KOPERSKI:

Łódź jest przykładem rozmachu i skali zmian, jakie zachodzą w kraju w wyniku decyzji podjętych przez partię i rząd w latach siedemdziesiątych. Unowocześnienie i rozbudowa przemysłu, szybki rozwój budownictwa mieszkaniowego zmieniły wygląd i charakter miasta, podniosły jego rangę. Wzrasta standard życia mieszkańców w całym województwie.

Dokonania te dostrzegają ludzie młodego i starszego pokolenia.

XXI Łódzka Konferencja Partyjna zamknęła pewien etap przedzjazdowej dyskusji, zakończyła kampanię sprawozdawczo-wyborczą w wojewódzkiej organizacji partyjnej. Delegaci, zabierając głos w dyskusji, odwoływali się do wniosków i postulatów zgłaszanych w tej kampanii, do tego, co mówiono na zebraniach grup partyjnych, organizacji podstawowych, na wsi, w miastach, na konferencjach dzielnicowych w Łodzi. Ocenę tej powszechnej, partyjnej rozmowy o naszych sprawach dużych i małych dał też w referacie Bolesław Koperski:

Śmiało i rzeczowo wskazywano na występujące braki i niedomagania, podkreślano zadania członków partii i bezpartyjnych, ich współodpowiedzialność za jakość życia. Wskazywano na konieczność bardziej skutecznej walki z takimi zjawiskami, jak łamanie dyscypliny pracy, niedbalstwo, nieposzanowanie mienia społecznego, marnotrawstwo, objawy kumoterstwa oraz występujący wśród części kadry kierowniczej brak odpowiedzialności za powierzoną jej sprawy.

Była to dyskusja gospodarzy o swoich sprawach. Nie tylko więc oceniano to, co zrobiliśmy, nie tylko mówiono o brakach, ale też zgłaszano postulaty:

Domagano się lepszej organizacji pracy — mówił Bolesław Koperski — *wyższej efektywności gospodarowania, poprawy zaopatrzenia, skutecznej eliminacji występujących bolączek dnia codziennego, ujemnie wpływających na prawidłową realizację zadań produkcyjnych.*

3.

Podobny też charakter miała dyskusja na XXI Łódzkiej Konferencji Partyjnej. Poruszono w niej wszystkie sprawy, które żywo obchodzą nas wszystkich. W dyskusji kształtował się program pracy wojewódzkiej organizacji partyjnej na następne lata.

Przystępując do konstruowania tego programu — powiedział między innymi członek Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier JAN SZYDLAK — *należy odpowiedzieć sobie na szereg podstawowych pytań. Jak w trudniejszych warunkach rozwijać gospodarkę kraju i podnieść dobrobyt społeczeństwa? Jak uzyskać lepsze efekty z potencjału, który stworzyliśmy? Jak uzyskać lepszą efektywność każdej pracy? W Łodzi — będzie to problem, w jaki sposób z dziesiątków nowych i zmodernizowanych zakładów szybciej zwrócić zużyte na nie niemałe środki i powiększyć wytwarzany dochód narodowy.*

Chwalimy się na ogół dorobkiem ilościowym. W latach 1971—1977 zbudowano w Łodzi 41 nowych fabryk i zmodernizowano około 130. Tylko w ostatnich dwu latach wydano na rozwój przemysłu 11 miliardów złotych, co stanowi 40,5 procent ogólnych nakładów inwestycyjnych. W porównaniu do 1977 roku produkcja wzrosła o 11 procent. Ale dzięki temu dorobkowi ilościowemu powstała w Łodzi nowa jakość, zgromadzono duży, nowoczesny potencjał produkcyjny. Jaki jest nasz rozwój jakościowy? Czy ten nowoczesny potencjał w pełni wykorzystujemy, czy dzięki niemu potrafimy dawać nowoczesne towary, poszukiwane na rynku krajowym i przez zagranicznych kupców? Odpowiedź na te pytania powinna teraz stanowić podstawę oceny, tego co robimy i jak robimy.

Zwrócił na to uwagę redaktor naczelny *Głosu Robotniczego* — JAN PAKUŁA, odwołując się do zwyczaju wyrażania rozwoju społeczno-gospodarczego sposobem wskaźnikowo-liczbowym. Im większe liczby, tym większy rozwój. Dziś to już nie powinno nam wystarczać. Dziś trzeba rozwój mierzyć jakością. Jakość powinna być miarą tego, jak wykorzystujemy posiadany potencjał. Zdarza się jednak, że kierownictwa niektórych fabryk pomne obowiązującego zwyczaju sztucznie podnoszą wskaźniki. I podał przykład Huty Szkła w Radomsku, która zmniejszając produkcję osiągnęła wyższe zyski. Ale nie wyższa jakość produkowanych towarów była tego przyczyną, tylko ceny. Czy tylko Huta Szkła w Radomsku tak postępuje?

4.

Każdego dnia, nie wliczając w to osób będących na urlopach wypoczynkowych, nie przychodzi do pracy średnio 44 tysiące pracowników. Jest to więcej niż 10 procent zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej województwa. Można powiedzieć, że każdego dnia nie pracuje kilka dużych fabryk. Od dawna mówi się u nas o zbyt wysokiej absencji. BENON GŁUSZKOWSKI — dyrektor Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź-Górna podzielił absencję na prawdziwą, kiedy ludzie rzeczywiście chorują i muszą otrzymać zwolnienie z pracy i na absencję wyłudzoną, kiedy różnymi sposobami otrzymują zwolnienia, aby załatwiać swoje sprawy. A HALINA ZIELIŃSKA — prządka z Przędzalni Czesankowej *Vigoprim* nazwała to po prostu udawaniem choroby, aby sobie zrobić dodatkowy urlop. Zdarzało się już i tak, że ludzie rzekomo chorzy wyjeżdżali w czasie choroby na zagraniczne wycieczki. Mówił o tym MIROSŁAW CZESNY — przewodniczący Rady Łódzkiej Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej.

Wiele zjawisk niepokoi delegatów, a wyrażali oni przecież zaniepokojenie społeczeństwa. TERESA BRONNER — szwaczka z ZPDz. im. P. Findera mówiła z zaniepokojeniem o szwaczkach z wieloletnim stażem, które odchodzą do prywatnych sklepów i warsztatów, gdzie zarabiają znacznie więcej niż w fabryce. MIROSŁAW CZESNY niepokoił się faktem, że wielu młodych specjalistów, zamiast iść do pracy zgodnie z otrzymanym wykształceniem, zajmuje się sprzedażą kwiatów, prowadzi warsztaty samochodowe, zostaje ajentami, albo otwiera prywatne sklepy. Wielu ludzi stara się bowiem zbyt wiele brać od społeczeństwa, nic w zamian nie dając. Takiej postawie zaczyna też hołdować młodzież.

EWĘ POPOWSKĄ — robotnicę z ZP Skórzanego *Skogar* niepokoił natomiast fakt, że wielu młodych ludzi — biorąc przykład ze starszych usiłuje żyć, nigdzie nie pracując.

5.

W zakładach pracy województwa jest obecnie 18 oddziałów pracy chronionej dla 1 400 kobiet ciężarnych i słabszego zdrowia. Nie muszę powtarzać, że w wielu dziedzinach gospodarki województwa przeważają kobiety. Wiemy o tym dobrze, ale nie tylko na tej wiedzy powinno się kończyć. Kiedyś było modne powiedzenie, że kobieta pracuje na 3 etaty: zawodowo, w domu i wychowuje dzieci. Mimo, że samo powiedzenie przestało być modne, to przecież nic się nie zmieniło. GENOWEFA PAWLIK — przewodnicząca Łódzkiej Rady Związków Zawodowych słusznie zauważyła, że kobiety zbyt wiele obowiązków przyjmują na siebie. Trzeba więc przyjść pracującej kobiecie z pomocą. Można to osiągnąć różnymi sposobami. Również w rodzinie, gdzie można i trzeba inaczej rozkładać obowiązki i odpowiedzialność. Zdaniem HALINY SUSKIEWICZ — dyrektorki XVIII LO szacunek do pracy wyrabia się już w rodzinie, nakładając na dzieci umiejętnie i stopniowo różne obowiązki i powinności. Dzieci bowiem pracują chętnie, jeśli praca sprawia im przyjemność, albo widzą i rozumieją jej celowość.

Sprawniejsze funkcjonowanie wszelkich dziedzin życia miasta i województwa też przyniosła pomoc kobiecie pracującej. Poprawa komunikacji, handlu, usług, administracji przyczynia się do ułatwienia życia. Prezydent miasta — JÓZEF NIEWIADOMSKI przypomniał, że został opracowany program takiej organizacji pracy administracji i niektórych dziedzin usług, aby można było zlikwidować kolejki. Program ten jest nadal w mocy i Urząd Miasta będzie kontrolował jego wykonanie. Jeśli chodzi natomiast o załatwianie petentów w urzędach, to obowiązuje zasada, że wszelkie niezbędne zaświadczenia gromadzi sam urzędnik i że urzędy w niektóre dni przyjmują i załatwiają sprawy do godziny 17, ale ludzie jakoś wolą przychodzić o innej porze, biorąc na załatwienie swoich spraw zwolnienia z pracy.

Poprawa komunikacji w mieście zależy od trzech czynników: układu komunikacyjnego, sprawności technicznej pojazdów i organizacji ruchu. W tej ostatniej sprawie trzeba doprowadzić do zróżnicowania czasu rozpoczynania i kończenia pracy w fabrykach i urzędach. Jednak decyzje Urzędu Miasta w tej sprawie spotkały się ze sprzeciwem zakładów pracy i — jak stwierdził Józef Niewiadomski — wiele przedsiębiorstw odwołało się od tych decyzji. Jednak bez wprowadzenia racjonalnych zmian w organizacji ruchu w komunikacji miejskiej nie uda się złagodzić występujących obecnie trudności. Tym bardziej że przebudowa układu komunikacyjnego i podniesienie sprawności środków transportu wymagają czasu i nakładów inwestycyjnych.

6.

Łódź jest nie tylko wielkim ośrodkiem przemysłowym, ale też ośrodkiem nauki, kultury i sztuki. Nie zabrakło więc w dyskusji na XXI Łódzkiej Konferencji Partyjnej głosów przedstawicieli nauki i kultury.

ZDZISŁAW HAS dyrektor Instytutu Materiałoznawstwa PŁ poddał krytyce motywy inspirujące badania naukowe. Nie zawsze wynikają one z potrzeb gospodarki. Zdarza się bowiem i tak, że powodem podjęcia badań jest chęć uzyskania stopnia naukowego, a troska o dalszy los badań schodzi na plan bardzo daleki, albo nie występuje wcale. Rezygnuje się z zagranicznych rozwiązań, bo nikomu — poza gospodarką oczywiście — nie przynosi to korzyści. Niektóre instytuty kupują różne drogie urządzenia i aparaturę, kierując się partykularnymi interesami.

Zdaniem Zdzisława Hasia powinny w organizacji pracy naukowej nastąpić takie zmiany, aby prace badawcze były prowadzone szybko i kończyły się wprowadzeniem ich do przemysłu. Trzeba również rozważyć możliwość premiowania kadry technicznej w przemyśle nie za wykonanie planu, a za wprowadzanie postępu technicznego i organizacyjnego.

O sprawach kultury w Łodzi i województwie mówił WACŁAW BILIŃSKI — pisarz, I sekretarz POP przy Łódzkim Oddziale Związku Literatów Polskich. Szukał on przyczyn zjawiska, które nazwał *złą prasą o Łodzi*, a dostrzegł je w odmienności historycznej i współczesnej miasta, które jednak — jak do tej pory — nie dorobiło się własnego modelu upowszechnienia kultury.

O Łodzi zwykło się mówić, że w przeszłości była *pustynią kulturalną*, choć stereotyp ten niezupełnie odpowiada prawdzie. W międzywojennym dwudziestoleciu była przecież Łódź schronieniem lewicy intelektualnej, miejscem, gdzie rodziły się cenne inicjatywy kulturalne, nagradzano twórców, starano się o utworzenie wyższej uczelni, której namiastką była filia Wolnej Wszechnicy Polskiej. To prawda, że dopiero socjalizm dał miastu prawdziwy awans kulturalny. Stworzył warunki dla działalności środowisk naukowych i artystycznych. Pewnie, że można i trzeba marzyć o znacznie lepszej bazie, ale i przy jej obecnym stanie wiele jeszcze można i trzeba zrobić. Aby jednak tego dokonać, aby stworzyć własny model upowszechnienia kultury, musi nastąpić integracja i ściślejsza współpraca humanistyki uniwersyteckiej, środowisk twórczych i ludzi zajmujących się kulturą. W poszukiwaniu własnego modelu działalności kulturalnej trzeb wziąć pod uwagę zarówno tradycję, jak i współczesne warunki życia i pracy łodzian. Taka powinna być podstawa własnych poszukiwań.

Wacław Biliński zwrócił też uwagę, że w tak trudnej sytuacji, jaka wystąpiła w gospodarce papierem trzeba na wszelkie sposoby szukać rezerw i możliwości oszczędzania papieru głównie w administracji i przemyśle. W tej dziedzinie występuje sporo możliwości i wiele zależy od lokalnych inicjatyw, dzięki którym, bez oglądania się na odgórne decyzje, można będzie znacznie pomóc ruchowi wydawniczemu, choćby tylko przez miniaturyzację druków i pism.

7.

XXI Łódzka Konferencja Partyjna obradowała w połowie grudnia, a więc już pod koniec roku. Było to nie tylko zamknięcie dwuletniej kadencji łódzkiej instancji partyjnej, ale też podsumowanie mijającego roku. Jeszcze bilanse nie zamknięte, jeszcze spływają informacje, dokonuje się obliczeń, aby we wskaźniki ilościowe ująć nasz roczny wysiłek, ale można już pokusić się o pewne wnioski. Podstawę do tego dała dyskusja na partyjnym forum.

Była to dyskusja przepojona troską o naszą przyszłość. Mieliśmy rok trudny. Przyszło nam pracować w warunkach, kiedy plany realizowano nierytmicznie, bo brakowało surowców, bo transport działał niesprawnie, bo nie zawsze starczało energii elektrycznej, bo zaopatrzenie szwankowało. To wszystko utrudniało pracę, komplikowało życie. Ale te trudności nie mogą przesłaniać nam przebytej drogi, jak też zamierzonego celu. Zastanawialiśmy się często, czy można było uniknąć tych wszystkich kłopotów? Wydaje się, że nie, choć można było znacznie im zapobiec, złagodzić je. Ale nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Ten też nie popełnia błędów. Dyskusja wykazała, że w społeczeństwie, które widzi i rozumie trudności, coraz częściej mówi się, żeby przestać biadolić, a wziąć się do roboty. Delegaci powtarzali często: — chcemy pracować dobrze i mieć do tego warunki. To są słowa, które przekazywali jako ogólne pragnienie nas wszystkich. Ale te warunki też w dużej mierze od nas samych zależą. Nikt ich nam nie da w prezencie, jeśli sami ich sobie nie stworzymy.

Zbliża się Nowy Rok. Będziemy sobie składali życzenia. Będziemy sobie życzyli lepszego roku 1980. I chciałbym, abyśmy pamiętali, że będzie on lepszy, jeśli my będziemy lepiej pracować, działać, myśleć, współpracować. Jeśli będziemy odważniejsi w podejmowaniu decyzji, bardziej śmiali w inicjatywach.

Stworzyliśmy zupełnie inny pejzaż miasta. Cieszy to nas, ale to dopiero początek drogi, a na niej zawsze można natknąć się na coś niespodziewanego. Ale mimo to tworzenie nowego, pięknego pejzażu miasta sprawia nam radość i satysfakcję. I jej się nie wyrzekniemy.

Foto. R. Łucyszyn

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

LĘK PRZESTRZENI

Dalszy ciąg ze str. 1

— Zanim przedstawię obraz nowego miasta, powiem może na wstępie, że to będzie rzeczywiście miasto nowe. W ciągu krótkiego czasu chcemy bowiem Sieradz rozbudować w skali, jakiej nie znała historia naszego regionu. Dość powiedzieć, że osiedle Klonowe, którego realizacja rozpocznie się w najbliższych latach będzie liczyło blisko 30 tys. mieszkańców, a więc więcej niż wynosi dzisiaj ludność miasta. A przecież trzeba jeszcze uwzględnić w tych rozważaniach zaprojektowane już wcześniej i częściowo zrealizowane osiedla mieszkaniowe „Aleja Pokoju", „Jaworowe", „Krasawa", „Kasztanowe". Powstały także porównawcze opracowania rewaloryzacji zespołu staromiejskiego i Wojewódzkiego Parku Kultury, Sportu i Wypoczynku. Gdy tu przyjechałem, stwierdziłem, że Sieradz, poza niewielkim rynkiem, nie ma właściwie placu, zaprojektowałem więc Plac Wojewódzki z centrum kulturalnym, administracyjnym i rozbudowanym systemem usług. Ale to oczywiście tylko cząstka problemu, który ma do rozwiązania architekt, podobnie jak propozycja powołania do istnienia parku etnograficznego, który miałby na celu obrazować kulturę regionu sieradzkiego ze szczególnym uwzględnieniem bogatej tutaj kultury ludowej. Koncepcje lokalizacji takiego parku, które zrodziły się jeszcze w czasach powiatu i przewidywały utworzenie go na podlegających zalewowi łęgach, okazały się chybione i trzeba było rozwiązać go zupełnie od nowa. Uważam, że park etnograficzny powinien być przede wszystkim obiektem żywym, ludnym, mającym swoje uzasadnienie nie tylko kulturowe, ale także, nie wstydźmy się tego słowa, ekonomiczne, co zobowiązuje nas do rozbudowania sfery usług. Proponujemy lokalizację takiego parku w rejonie Żeglina, wioski rybackiej, nawiązującej do tradycji tzw. olendrów. Rozwinięciem tej koncepcji jest stworzenie wioski leśnej w okolicy Stawiszczy. Są to koncepcje dające satysfakcję architektowi, bo jego osobiste ambicje zbiegają się z interesem społecznym.

— No właśnie. Czym więc jest współczesna architektura, którą obciążam odpowiedzialnością za unifikację naszego kraju, za mechaniczne wznoszenie podobnych do siebie „pudełek" w nowych dzielnicach mieszkaniowych różnych miast naszego kraju?

— Problem nie jest taki prosty i za tę unifikację nie można obciążać samych architektów, zadecydowały bowiem racje społeczne, konieczność rozwiązania w możliwie najszybszym czasie głodu mieszkaniowego. Na rzecz tych racji trzeba było niejednokrotnie poświęcić osobiste ambicje. Architektura bowiem jest usługą, przede wszystkim usługą, choćby nawet, jak w moim przypadku „na urzędzie". Marzymy o inwestorach, którzy postawią nam zadania trudne, a więc ambitne, i wierzę, że środowisko architektów potrafi znaleźć na nie wysokiej klasy odpowiedź. Ale problem, jak już wspomniałem, nie jest taki prosty, bo tworzywo, z którego komponujemy przestrzeń, jest szalenie ubogie. Chcielibyśmy, aby wznoszone w Polsce budynki, nie były tylko trój- czy nawet sześcioklatkowymi blokami, wolelibyśmy mieć do czynienia z elementami, które pozwoliłyby nam zrobić o wiele więcej, zerwać z dotychczasową monotonią. Ale na przykład katalog Łódzkiego Zjednoczenia Budownictwa, które jest naszym głównym kontrahentem, oferuje zaledwie trzy-cztery typy budynków. I to nas ogranicza. Spółdzielczość mieszkaniowa, która jest powiernikiem użytkowników, zabiega o poprawę sytuacji. Już dziś sprawy wyglądają korzystniej, ale byłoby dobrze, żeby spółdzielczość mieszkaniowa rozwinęła dla architektury możliwości wyższego rzędu. Determinują nas przesłanki ekonomiczne. W zasadzie metr kwadratowy powierzchni w nowym budownictwie kształtuje się na wysokości 5.500 zł. To wiele i zarazem mało, ale często można za tę sumę uzyskać nie najgorszy efekt. Pewne jest, że jeśli inwestor będzie rzeczywiście reprezentował interesy użytkownika, efekty, nawet bez zmiany nakładów, będą grubo lepsze. A skoro już rozmawiamy o architekturze, nie od rzeczy będzie przypomnieć słowa Jarosława Iwaszkiewicza, który moim skromnym zdaniem utrafił w sedno. „Dziwna to sztuka architektura — zauważył pisarz. — Jednym swym skrzydłem sięga rzemiosła, a nawet prostego fachu, drugim wylatuje w regiony poezji, równa się z muzyką i zabawia igraszkami matematycznymi, igrami brył i proporcji. Zauważmy jak mało wiemy o architekturze, my zwyczajni zjadacze chleba, jak mało zastanawiamy się nad nią i jak obojętny w gruncie rzeczy jest nasz stosunek do niej. A przecież z tą sztuką mamy do czynienia na co dzień, w każdej chwili naszego życia, częściej niż z każdą inną. Zawdzięczamy jej nasze środowisko — miejsce, w którym żyjemy i nastrój, który nas otacza." Wyciąłem sobie te zdania z „Życia Warszawy" i chciałbym, żeby dotarły do świadomości każdego.

— A co się robi, żeby dotarły rzeczywiście? Czy nie za często zgadzamy się na kompromisy, które służą przede wszystkim wygodzie wykonawców.

— Nie podejmuję się udzielić odpowiedzi wyczerpującej całokształt zagadnienia, bo wtedy na pewno musiałbym je uprościć, a przecież nie o to chodzi. Mogę natomiast powiedzieć, co robimy w naszym województwie, aby ograniczyć błędy, które zagrażają wszelkiemu działaniu ludzkiemu. Już w najbliższym czasie odbędzie się u nas Wojewódzki Przegląd Architektury, chcemy bowiem udostępnić społeczeństwu w najszerszym rozumieniu tego słowa to wszystko, co mamy zamiar realizować i budować. Zależy mi na kontroli społecznej naszych poczynań i na prowadzeniu dialogu z inwestorami, wykonawcami i użytkownikami. Najlepiej pewne sprawy stawiać otwarcie, publicznie. Ten przegląd to dopiero początek, zaczyn do powstania wojewódzkiego ośrodka architektury i rzemiosł budowlanych. Ośrodka, który będzie przede wszystkim instrumentem pracy. Będzie stanowił element propagandy, ale także informacji i poradnictwa w zakresie zamierzeń inwestycyjnych.

W moim przekonaniu Wojewódzki Przegląd Architektury jest tylko etapem, otwartym postawieniem problemu, bo przecież rozpoczęła się już działalność inwestycyjna związana z tak wielkim zamierzeniem jak osiedle „Klonowe". Wystawa, którą organizujemy także i z tej okazji, musi być i będzie permanentnie uzupełniana, żeby stanowiła źródło informacji dla inwestorów prywatnych (pamiętajmy bowiem, że blisko połowa Polski to wciąż Polska parterowa, budownictwo jednorodzinne), a także dla potężnych inwestorów państwowych, którzy powinni się zapoznać z zamierzeniami przestrzennymi w skali wojewódzkiej, bo to będzie przecież synteza opracowań, koncepcji i przemyśleń. Inwestorzy zbyt często zasłaniają się dzisiaj niewiedzą, nieświadomością, pokrywając w ten sposób i usprawiedliwiając działanie z premedytacją. Od tej pory będą posiadali świadomość błędu. I będzie im się trudniej usprawiedliwiać w wypadku naruszania ładu przestrzennego, co jest właściwie równoznaczne z karygodną deformacją i okaleczeniem przestrzeni. Trzeba upowszechnić ten swoisty lęk przestrzeni.

Nie chcemy więc, żeby Wojewódzki Przegląd Architektury w Sieradzu był tylko jeszcze jedną okazjonalną wystawą, przeglądem dorobku. Chcemy przekształcić go w warsztat roboczy, gdzie będą w każdej

JAN MICHALEWICZ: „Zależy mi na kontroli społecznej naszych poczynań i na prowadzeniu dialogu z inwestorami, wykonawcami i użytkownikami".
Foto: A. Wach

FUNDAMENT

Rozmowa z dyr. naczelnym Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej m. Łodzi — dr inż. KSAWERYM KRASSOWSKIM

Każdy z nas widzi miasto we fragmencie: miejsce, w którym mieszka, pracuje, robi zakupy, spaceruje; trasy, którymi dojeżdża do pracy, do domu, do centrum. A miasto jest wielkim, skomplikowanym organizmem, który musi sprawnie funkcjonować, aby żyło nam się dobrze, wygodnie i bezpiecznie. O to troszczą się służby komunalne.

Wszystkim zależy na tym, aby mieszkać i żyć w estetycznym otoczeniu. Jeśli nawet nie będziemy śmiecić na ulicach i placach, nie będziemy niszczyć drzew i krzewów, to i tak każdy z nas jest nieustannym producentem śmieci. Pracownicy specjalnie do tego celu powołanej służby komunalnej powinni utrzymywać miasto w czystości. A nie zawsze tak się dzieje. Dlaczego?

— Rzeczywiście mogłoby być lepiej. Dlaczego czasem mamy powody do niezadowolenia? — Z trzech powodów. Po pierwsze — nie mamy wystarczającej ilości sprzętu. Po drugie — nie mamy wystarczającej ilości pracowników. Po trzecie — tylko jedno wysypisko śmieci znajduje się w obrębie Łodzi, w Józefowie, w odległości około 9 km od centrum. Pozostałe mamy w Pałczewie — w odległości 26 km i w Kalonkach — 11 km.

— Miasto rozrasta się nadal, a więc i służba komunalna zajmująca się oczyszczaniem, będzie miała coraz większe zadania. Jak sobie z nimi poradzi?

— Rozwiązań jest kilka. Najważniejszy jest postęp w mechanizacji i organizacji pracy. Trzeba wybudować na przykład stację do przeładowywania śmieci w kontenery, w których można będzie transportować je dalej. Staramy się bowiem o nowe wysypiska śmieci, ale nie znajdziemy ich w pobliżu Łodzi. Wywożenie śmieci do daleko położonych wysypisk wymaga kontenerów. W przeciwnym razie trzeba by ogromnej ilości samochodów.

Inne rozwiązanie — to wybudowanie spalarni śmieci. Byłoby to korzystne dla miasta, bo ciepło uzyskiwane w ten sposób można by wykorzystać do ogrzewania mieszkań. Ale takie rozwiązanie ma też swoją stronę ujemną — zanieczyszcza atmosferę. Trzeba jednak i o tym myśleć, szukając jednocześnie sposobów wyeliminowania zanieczyszczeń otoczenia.

— Zaczęłam od śmieci i temat może się wydawać mało elegancki. Wszyscy na ogół chcemy mieć koło siebie czysto, ale wolelibyśmy, żeby ktoś to za nas zrobił.

— A przecież każdy może się do tego przyczynić.

— Na pewno tak, ale zależy to od kultury osobistej społeczeństwa. Z tym jednak jest różnie. I dlatego znaczna część obowiązków spada na służbę komunalną i gospodarzy domów. Tylko jakby coraz mniej widać ich pracę.

— Bo mało jest chętnych do tej pracy. Rozumiem jednak, że to od nas oczekuje się zmiany tej sytuacji. W NRD na przykład obowiązek utrzymywania czystości w bloku i wokół niego wzięli na siebie sami lokatorzy.

— U nas też próbowano tak postępować, ale bez powodzenia. W nowym bloku mieszkają ludzie z różnych stron miasta, którzy nie przejawiają ochoty na sąsiedzkie kontakty i trudno oczekiwać, że przejmą obowiązki gospodarza domu. Potrzeba czasu, aby wytworzyły się nowe więzy sąsiedzkie, a dopiero potem można oczekiwać wspólnego działania dla wspólnego dobra.

— To prawda, ale spodziewaliśmy się, że mieszkańcy nowych bloków będą choćby tylko respektowali podstawowe wymagania: utrzymywanie zsypów i klatek schodowych w czystości. Jeśli nie mają ochoty sprzątać, to przynajmniej niech nie śmiecą.

— Z tego wynika, że nie obejdziemy się bez gospodarza domu. Jaki on powinien być?

— Chcemy, aby był to gospodarz nie tylko z nazwy. Wracamy do starej koncepcji. Gospodarz domu powinien nie tylko dbać o czystość, ale powinien umieć robić różne drobne naprawy. Nie zawsze przecież trzeba wołać specjalistę, skoro jest na miejscu ktoś taki, kto może naprawić drobne uszkodzenie.

— Skąd wziąć takich gospodarzy?

— Trzeba szkolić chętnych.

— A czy chętni są?

— Zorganizowaliśmy kurs. Zgłosiło się kilkanaście osób. To mało. Będziemy robić następne. Może w ten sposób przełamiemy uprzedzenia do tej pracy i ludzie zrozumieją, że jest ona tak samo ważna jak każda inna.

— Gospodarz jest potrzebny w każdym domu i tym nowym, i tym starym. Ale nawet najlepszy gospodarz niewiele pomoże, jeśli dom się sypie i wymaga remontu.

— Wiemy jakie są potrzeby. Ostatnio zrobiono inwentaryzację techniczną w Pabianicach i Konstantynowie. Robi się taką inwentaryzację w Zgierzu.

— A w Łodzi?

— Ogółem na remonty w Łodzi potrzeba 7 miliardów złotych. Rzecz jednak nie tylko w pieniądzach.

— Wobec tego w możliwościach produkcyjnych przedsiębiorstw remontowych?

— Istotnie. Potrzeby znacznie przewyższają możliwości. Dlatego trzeba najpierw wybudować nowe warsztaty remontowe, bo to znacznie ułatwi pracę naszym przedsiębiorstwom. Do remontów podchodzimy teraz inaczej niż poprzednio. Dokonujemy modernizacji budynków i mieszkań. Dlatego też prowadzimy prace kompleksowo i koncentrujemy je w pierwszym etapie w śródmieściu, bo takie działanie przynosi lepsze rezultaty.

W 1979 roku przeprowadzono kompleksowe remonty w 12 budynkach i częściowe w 60. W 1980 roku chcemy kompleksowo zmodernizować 31 dalszych budynków.

— Tempo nie jest zachwycające.

— Określają je techniczne możliwości. Ale, chcę tu wyjaśnić, że dzięki takiej modernizacji oddajemy mieszkania z pełnym wyposażeniem, nie odbiegające standardem od nowego budownictwa, a czasem je przewyższające.

— Na jak długo wobec tego rozłożony jest program modernizacji starych budynków?

— Zakładamy, że w ciągu 10 lat powinniśmy się z tym uporać. Ale do programu tego wchodzi też modernizacja budynków, w których mieszczą się biura różnych instytucji. Tu znów utrudnia nam pracę brak lokali zastępczych, bo przecież biura trzeba gdzieś przeprowadzić na czas remontu.

Jeszcze jedna sprawa. Musimy wyburzyć 1 100 budynków, bądź ze względu na ich zły stan techniczny,

Foto: W. Parys

chwili do wglądu nie tylko projekty, ale także narzędzia i materiały, z których korzysta architektura. Chociaż sytuacja na rynku materiałów budowlanych nie jest łatwa, często nie wykorzystuje się dostatecznie istniejących możliwości. Chcemy, żeby społeczeństwo wiedziało, czym dysponujemy i stawiało nam wymagania. W ten sposób będzie się dokonywać konfrontacja opinii środowiska architektów z zapotrzebowaniem społecznym. Bo przecież zaprezentowane projekty są swoistą ofertą z naszej strony i wymagają akceptacji ze strony społeczeństwa.

— Skoro jednak tworzywo, którym dysponuje architektura „na dziś" jest tak ubogie, co robić, aby społeczeństwo czuło, że projektanci są rzeczywiście rzecznikami jego interesu? A przecież Sieradz jako stary ośrodek ma sporo historycznej zabudowy, którą trzeba stopić z nowym budownictwem...

— Nie zapomnieliśmy o tym i podjęliśmy działania zmierzające do ukierunkowania inwestycji. Wojewódzkie Biuro Planowania Przestrzennego w Sieradzu opracowało cały zespół projektów, które przewidują dla terenów objętych ochroną krajobrazu budynki o dachach stromych, a w strefie miejskiej budynki z dachami płaskimi. Lansuję pogląd, że nie może istnieć budownictwo komunalne, które by eliminowało budownictwo indywidualne. Przecież wysoka intensywność zabudowy dopiero w połączeniu z niską intensywnością rozbija monotonność budownictwa. A przecież wciąż jeszcze niedostatecznie docenia się nawet funkcję zieleni w dużym ośrodku miejskim. Zieleń nie tylko daje satysfakcję człowiekowi, często musi osłaniać braki koncepcji urbanistycznych, choć ta ostatnia jej funkcja jest najmniej pocieszająca. Jestem zdania, że zamiast na szczytach budynków umieszczać niczego nie reklamujące reklamy, o wiele słuszniejsze byłoby puścić tam bluszcze. Zielone szczyty budynków mogą dać mieszkańcom satysfakcję estetyczną i ekologiczną, nie mówiąc już o kosztach, bo wymagają znacznie mniej nakładów niż napacykowane reklamy. To wcale nie takie śmieszne, że często widzi się przed nowymi blokami gabloty ze szczytnymi hasłami, a na ziemi walające się śmieci, bo nie ma kto oprzątnąć posesji. I takim przykładom marnotrawstwa społecznego trzeba się przeciwstawić, czemu między innymi służyć będzie organizowany przez nas Wojewódzki Przegląd Architektury.

W Wytycznych na VIII Zjazd partia stawia architekturze poważne zadania. Chcemy się twórczo włączyć do ogólnonarodowej dyskusji; nie zapominamy przecież, że architektura jest cząstką środowiska, z którym człowiek ma do czynienia na co dzień.

— Dziękując za rozmowę życzę Panu realizacji zamierzeń. Ośrodek architektury i rzemiosł budowlanych, który powstanie w Sieradzu, może być przecież przykładem dla innych regionów i pośrednio służyć zgodnemu z polityką państwa procesowi racjonalnego rozwoju kraju.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

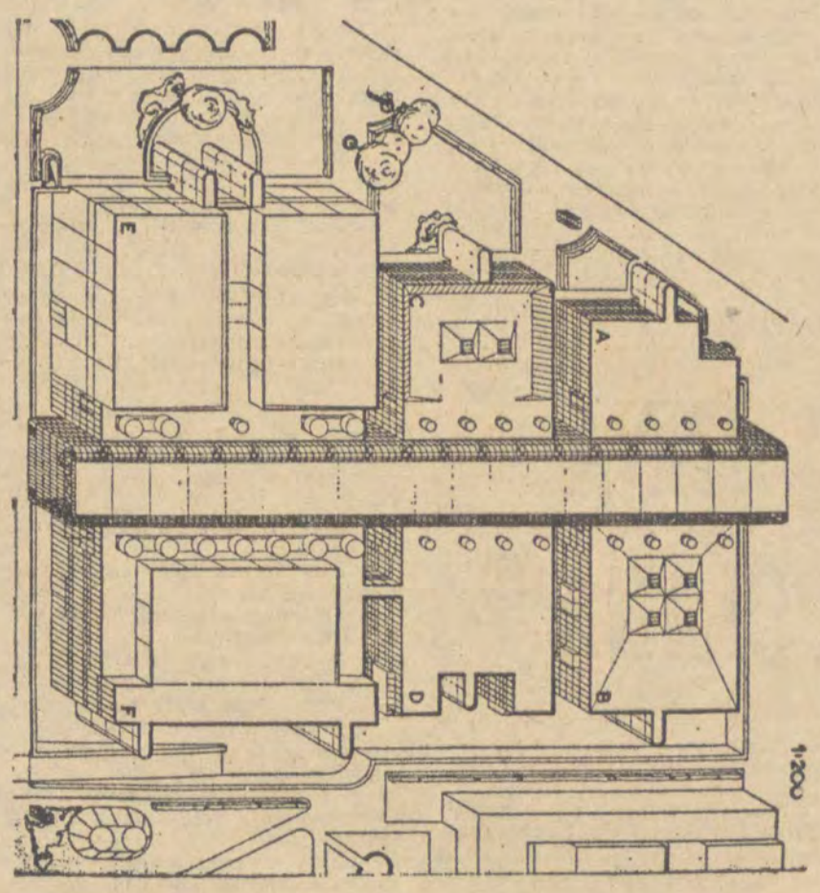

Legenda do projektu Wojewódzkiego Centrum Kultury w Sieradzu.

A — Administracja. Uniwersytet Powszechny.
B — Zespół Wystawienniczo-Plastyczny.
C — Biblioteka
D — Zespół videofoniczny, filmowy, muzyczny
E — Sport
F — Zespół widowiskowy

MIASTA

bądź też ze względu na rozbudowę układu komunikacyjnego.

— W tym drugim przypadku mogą to być również budynki „zdrowe" i burzenie takich domów nie jest popularne wśród łodzian.

— To prawda, ale nauczmy się patrzeć szerzej. Co jest ważniejsze dla miasta, zachowanie kilku starych budynków, czy rozbudowa układu komunikacyjnego?

— Wprawdzie sporo już zrobiono dla poprawy komunikacji, ale przecież niektóre trasy nie zostały ukończone. Na przykład aleja Mickiewicza, która bez wiaduktu koło dworca Łódź Kaliska nie spełnia swej roli. Podobnie nie dokończona jest aleja Włókniarzy. Od wielu lat mówiło się też o konieczności przebicia alei Kościuszki w stronę południa.

— W 1980 roku rozpoczną się prace przy przebudowie ulicy Armii Czerwonej i Rokicińskiej w kierunku wschodnim aż do ulicy Augustów na Olechowie. W następnym pięcioleciu, budować będzie się też wiadukt koło dworca Kaliskiego. Do 1985 roku cała trasa „W—Z" powinna być gotowa. Od Widzewa Wschodu aż do Retkini.

— A nie zdarzą się „poślizgi"?

— Tego nie przewidujemy i będziemy się starali, aby nie zdarzyły się, jednak całe przedsięwzięcie zależy nie tylko od nas, ale również od służb kolejowych. Przygotowujemy również przebicie alei Kościuszki w kierunku południowym. Aleja Włókniarzy będzie doprowadzona do ulicy Pabianickiej. Na Retkini kończy się połączenie ulicy Marchlewskiego z ulicą Konstantynowską. Buduje się już wiadukt na ulicy Dąbrowskiego. To wszystko razem przyniesie zdecydowaną poprawę w funkcjonowaniu komunikacji w mieście.

— Na ogół wiemy, dlaczego komunikacja miejska nie jest najlepsza. Przyczyną jest brak części zamiennych, akumulatorów. Przeszkadzają wąskie ulice w śródmieściu, gdzie tory tramwajowe krzyżują się z trasami samochodów. Brakuje również kierowców i motorniczych. Mamy nadzieję, że MPK upora się z tymi trudnościami. Ale co dalej?

— Dalszy rozwój komunikacji zależy od trzech czynników. Po pierwsze — szybki, cichy tramwaj na wydzielonych torowiskach. Po drugie — szybki i pojemny autobus. Po trzecie — kolej obwodowa.

— Dlaczego tramwaj jest na pierwszym miejscu?

— To chyba zrozumiałe. Myśmy się na szczęście z komunikacji tramwajowej nie wycofali. I dobrze, bo tramwaj nie zanieczyszcza powietrza, jest pojemniejszy od autobusu i nie jest zależny od kryzysu paliwowego. Aby jednak tramwaj szybko przewoził pasażerów, musi poruszać się po wydzielonych torach. Ale takich tras jest jeszcze mało, przede wszystkim w śródmieściu.

— A kolej obwodowa?

— Żeby można było wykorzystać kolej obwodową w komunikacji miejskiej, trzeba wybudować drugie pasmo torów wyłącznie dla potrzeb miasta. Istniejące już tory obciążone są przejazdami pociągów podmiejskich, dalekobieżnych i towarowych. Budowa nowych torów zależy jednak od PKP.

— Kłopoty komunikacyjne wynikneły z rozrostu miasta. Powstały nowe dzielnice, którym trzeba zapewnić nowe połączenia komunikacyjne. Nie są to jedyne potrzeby. Musi rozrastać się sieć ciepłownicza, gazowa, telefoniczna, kanalizacyjna i wodociągowa. Cieszyliśmy się z budowy wodociągu Sulejów — Łódź. Ale dzisiaj coraz częściej zastanawiamy się, na jak długo wystarczy nam wody...

— Około 72 procent mieszkań w Łodzi posiada już instalacje wodociągowe. Przeszło 3 tysiące budynków, przeważnie na peryferiach miasta, znajduje się poza zasięgiem wodociągu miejskiego. Mieszkańcy tych domów korzystają na ogół ze zdrojów ulicznych. Jest ich w mieście 1 375 i trzeba będzie budować dalsze, bo obniża się poziom wód gruntowych i wysychają studnie. Do niektórych rejonów Łodzi dowozi się wodę beczkowozami. Do niedawna dowożono wodę do 176 punktów na Górnej, teraz do 159. W innych dzielnicach jest 51 punktów odbioru wody. Będą one likwidowane w miarę rozbudowy miejskiej sieci wodociągowej. To ilustruje skalę potrzeb. Wraz z rozbudową wodociągu miejskiego rosnąć będzie zużycie wody. Obecnie już około 90 proc. ludności korzysta ze zdrowej wody.

Na jak długo więc wystarczy nam tej wody, którą mamy? Przewidujemy, że w 1985 roku wystąpi deficyt wody w ilości 68,4 tysiąca metrów sześciennych na dobę. W związku z tym Prezydent Miasta Łodzi zobowiązał nas do opracowania programu budowy drugiego etapu wodociągu Sulejów — Łódź.

— Z tego wynika, że trzeba już teraz uczyć się oszczędzania wody.

— Wodę w ogóle trzeba umieć szanować i to w każdym gospodarstwie domowym, bo to cenny surowiec.

— Tylko, jak się tego uczyć, skoro często trzeba spuścić z kranu parę wiader wody, aby doczekać się ciepłej?

— To już jest kwestia odpowiedniej temperatury wody, ale to nie zależy od gospodarki komunalnej.

— Przemysł też wody nie oszczędza.

— W 1970 roku przemysł okręgu łódzkiego zużył 32 miliony metrów sześciennych wody, a przewiduje się, że w 1990 roku zużyje 80 milionów metrów sześciennych. Obecnie zakłady włókiennicze zużywają 22 procent wody, mimo że od wielu lat woda dla przemysłu jest limitowana. Niemniej istnieją jeszcze możliwości dalszego oszczędzania poprzez wprowadzenie prostych urządzeń, dozowników, zaworów. Można też zmniejszyć zużycie wody poprzez zmianę technologii w wykończalnictwie, wprowadzając technologie potrzebujące mniej wody. Rozważa się też możliwość zaopatrywania przemysłu w wodę po jej odzyskaniu z oczyszczalni ścieków. Będzie to możliwe dopiero po wybudowaniu Grupowej Oczyszczalni Ścieków.

— Mówiliśmy o niektórych ważnych sprawach miasta, tych nam najbliższych. Prawidłowe funkcjonowanie organizmu miejskiego zależy jeszcze od wielu innych, jak choćby od dobrej nawierzchni ulic, należytego ich oświetlania w nocy, rozwoju gazownictwa i ciepłownictwa, energetyki. Do gospodarki komunalnej należy ZOO, Ogród Botaniczny, a więc po części i rekreacja. Jest jeszcze sprawa rozwoju zieleni miejskiej. I dość nieprzyjemna — kurczą się tereny wiecznego odpoczynku naszych drogich nieobecnych. Ale to już tematy na następną rozmowę.

— Zapraszam.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

BAZY USA NA SYNAJU

Stany Zjednoczone aktywizują ostatnio działalność wojskową w strefie Morza Czerwonego i Zatoki Perskiej. Prawicowe koła USA są zaniepokojone niebywałym wzrostem nastrojów antyamerykańskich na Bliskim Wschodzie, rozszerzaniem się walki narodowowyzwoleńczej oraz narastającą falą protestów przytłaczającej większości leżących tam krajów arabskich oraz innych krajów, a przede wszystkim Iranu, przeciwko porozumieniu izraelsko-egipskiemu. W związku z tym Waszyngton próbuje przy pomocy siły militarnej narzucić im swoją wolę, żeby utrzymać w tej strategicznie i ekonomicznie ważnej strefie świata swoje zachwiane pozycje.

W urzeczywistnianiu tych zamysłów pomagają Stanom Zjednoczonym niektóre arabskie reżimy, jak np. Oman. Sułtan tego kraju zaproponował ostatnio „projekt ochrony Cieśniny Ormuz", który przewiduje coś w rodzaju sojuszu krajów Zatoki Perskiej przy poparciu USA, Wielkiej Brytanii i RFN. Jest to de facto część ogólnego amerykańskiego planu strategicznego w tym rejonie świata. Przy pomocy Omanu USA chcą kontrolować Cieśninę Ormuz i — co za tym idzie — dostawy nafty z krajów Zatoki Perskiej do zachodniej Europy.

Jak donosi południowojemeńska agencja prasowa Aden News Agency, „USA oraz inne zachodnie państwa stosują metodę pogróżek, korzystając z obecności swoich okrętów oraz baz wojskowych na Oceanie Indyjskim, w Zatoce Perskiej i na Morzu Czerwonym". W tym świetle należy rozpatrywać amerykańsko-brytyjskie manewry wojskowe, które w końcu listopada odbyły się w odległości zaledwie 200 km od wyspy Sokotra, należącej do Ludowej Republiki Jemenu Południowego.

Sześć amerykańskich okrętów, na czele z lotniskowcem „Midway" i 11 okrętów brytyjskich, w tym jeden okręt rakietowy, w ciągu czterech dni przeprowadzały manewry w bezpośredniej bliskości terytorium demokratycznego Jemenu. Stanowi to wyraźne zagrożenie pokoju i bezpieczeństwa w strefie Morza Arabskiego i całego Oceanu Indyjskiego. Ta demonstracja siły, groźby interwencji, tworzenia baz i nasycania rejonu ciężką bronią jest częścią nowej polityki USA, którą rząd zaaprobował w końcu czerwca br. „Jej istota polega na zwiększaniu amerykańskiej obecności wojskowej, mającej na celu zapewnienie bezpieczeństwa na Oceanie Indyjskim i w Zatoce Perskiej". Tak w każdym razie sprecyzował ją minister obrony USA, H Brown. Ta nowa linia strategiczna przewiduje, m.in. stworzenie siły uderzeniowej w liczbie 100 tys. żołnierzy oraz dalsze zwiększenie ilości działających już tutaj jednostek VI i VII floty USA. Warto wspomnieć, iż amerykański senator, G. Hard, występując przed słuchaczami wojskowej akademii lotniczej powiedział, nie owijając rzeczy w bawełnę: „Będziemy zmuszeni sięgnąć do broni, żeby zabezpieczyć stały dopływ nafty".

Kontrolując dopływ bliskowschodniej nafty, USA trzymają w swych rękach główne dźwignie ekonomiki zachodniej Europy i Japonii. Taka sytuacja trwa od czasów II wojny światowej. USA zawsze używały nafty do osiągania określonych celów politycznych. Przykładów nie trzeba daleko szukać: w związku z separatystycznym porozumieniem egipsko-izraelskim, USA zagwarantowały Izraelowi zaopatrzenie w naftę na przeciąg 15 lat. Kontynuowanie tej polityki [illegible] maga oczywiście uchwycenia w garść bliskowschodnich krajów eksportujących naftę. I oto, zdaniem wielu komentatorów politycznych krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu, rząd amerykański rozwinął kampanię skierowaną przeciwko Organizacji Krajów Eksportujących Naftę (OPEC). Obserwator pisma „Palestin" z Bejrutu poinformował, że doradca prezydenta USA do spraw polityki wewnętrznej, S. Eisenstadt, w memoriale skierowanym do prezydenta Cartera w lipcu br., twierdził z butą: „Możemy zmobilizować naród do zdecydowanego działania w obliczu zagrażającego kryzysu, przeciwko jawnemu wrogowi — OPEC" W świetle tego oświadczenia oraz decyzji podjętych niedawno przez amerykańskie kierownictwo, nie od rzeczy byłoby zadać pytanie: kto komu zagraża — OPEC i Arabowie Stanom Zjednoczonym, czy Stany Zjednoczone Organizacji Krajów Eksportujących Naftę i Arabom?

Amerykańska gra w Zatoce Perskiej, wymierzona przeciwko krajom arabskim, nabiera niebezpiecznego charakteru. Waszyngton wciąż zgłasza nieuzasadnione roszczenia do rządzenia w tej strefie świata. Widać wyraźnie, iż zamierza on stworzyć wybuchową sytuację w rejonie Zatoki Perskiej, żeby móc w ten sposób wywierać nacisk na leżące nad nią kraje wydobywające ropę naftową. W związku z tym zaproponował swoje usługi Sadat w charakterze żandarma „od Algieru po Afganistan i od Morza Śródziemnego po Afrykę Południową". Jednakże amerykańscy stratedzy nie biorą pod uwagę chwiejnego reżimu Sadata jako obiecującej wymiany szacha, niemniej ma on do odegrania określoną rolę.

W okresie między grudniem 1978, kiedy to stało się widoczne, że szach Iranu nie będzie już odgrywał roli regionalnego żandarma, a 26 marca 1979 roku, tj. dniem podpisania porozumienia izraelsko-egipskiego w Camp David, toczyły się gorące rozmowy amerykańsko-izraelsko-egipskie właśnie w sprawie roli, jaką powinny odgrywać Egipt i Izrael w charakterze sukcesorów szacha. Ściślej mówiąc, były to nie tyle rozmowy, ile spór o znaczenie każdego z tych dwóch państw w przyszłej strategii USA na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Ostatecznie uzgodniono stanowiska na podstawie formuły zaproponowanej przez senatora Jacksona: rolę żandarma powinny podzielić między siebie Egipt i Izrael. Dlatego to porozumieniu towarzyszyła amerykańska pomoc w wysokości 4,8 miliarda dolarów na wydatki wojskowe, w tym także półtora miliarda dolarów kredytów dla Egiptu i sfinansowanie budowy dwóch nowych baz izraelskich na pustyni Negew, w zamian za dwie bazy na Synaju, z których Izrael ewakuował swoje wojska.

Amerykańsko-izraelskie memorandum umożliwia Stanom Zjednoczonym w wypadku „naruszenia" porozumienia podjęcie „takich kroków w celu polepszenia sytuacji jakie uznają one za stosowne i które mogą nosić charakter dyplomatyczny, ekonomiczny lub wojskowy" Środki te — zabezpieczające przestrzeganie porozumienia — obejmują także amerykańską kontrolę powietrzną oraz „stworzenie i popieranie sił wielonarodowych". W ten sposób stworzono prawne podstawy stałej amerykańskiej obecności wojskowej zarówno na pustyni Negew, jak i na Synaju. W nowych bazach na pustyni Negew, zgodnie z osiągniętym porozumieniem z rządem Izraela, będzie rozlokowany amerykański personel wojskowy oraz niezbędny sprzęt. Budowę tych baz już rozpoczęto. To, jeśli chodzi o Izrael.

Sadat ze swojej strony wyraził zgodę na wydzierżawienie Stanom Zjednoczonym jednej z dwóch baz na Synaju, po opuszczeniu ich przez wojska izraelskie. Należność za dzierżawę będą spłacać Amerykanie w formie dostaw wojskowych dla Egiptu. Zgodnie z niedawnym oświadczeniem, trzy kraje: USA, Izrael i Egipt, zawarły porozumienie w sprawie przeprowadzania wspólnych manewrów wojskowych w rejonach przylegających do Półwyspu Arabskiego, w których główną rolę będą odgrywały amerykańskie bazy wojskowe na Synaju i na pustyni Negew.

Nowe bazy, które USA otrzymają na pustyni Negew i na Synaju, uzupełnią inne bazy, położone dalej na południowy wschód, a ściślej mówiąc — na wyspach Masira i Diego Garcia. Taki kompleks baz wojskwych pozwoli Stanom Zjednoczonym na bezpośrednie kontrolowanie rejonów roponośnych, leżących nad Zatoką Perską oraz morskich dróg transportu nafty. Amerykański senator, G. Jewits, rzucił światło na zamierzenia rządu USA dotyczące tej strefy świata. Powiedział on, iż USA „powinny niedwuznacznie dać do zrozumienia, że przemysł naftowy w Arabii Saudyjskiej jest dla nas tak samo ważny jak w Teksasie", i że „one użyją siły militarnej, żeby zapobiec przejściu przemysłu naftowego Arabii Saudyjskiej we wrogie ręce". Duże znaczenie w tym kontekście odgrywa baza USA na wyspie Masira, biorąc pod uwagę jej położenie u wejścia do Zatoki Perskiej.

Amerykańska kontrola realizacji egipsko-izraelskiego porozumienia jest w istocie niczym innym, jak tylko usprawiedliwieniem znacznego wzrostu obecności wojskowej USA na Bliskim Wschodzie. Dotyczy ona nie tylko Egiptu i Izraela. Koncentracja w tym rejonie wojskowych sił USA wychodzi daleko poza ramy baz na Synaju i na pustyni Negew. Na przykład, kilkanaście amerykańskich samolotów „Lockheed S72" będzie latać kolejno przez okrągłą dobę nad Synajem. Loty tych samolotów obejmą powierzchnię o promieniu około 500 km, włącznie z Cyprem, Morzem Czerwonym i dalej.

Do tego trójstronnego sojuszu Stany Zjednoczone próbują przyciągnąć miejscowe reakcyjne rządy arabskie, żeby stworzyć „nowy system regionalnego bezpieczeństwa". W okolicznościach wybuchowej sytuacji na Bliskim Wschodzie nagromadzenie nowoczesnego amerykańskiego arsenału i zwiększanie wojskowej obecności USA w tym rejonie świata kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo.

J. CZECH

KIRYŁ BUŁYCZOW

INNA POLANA (2)

— Ale tam nie było przystanku trolejbusu numer sto dwa, gdyż na jego miejscu znajdował się przystanek autobusu „B", chociaż taki autobus w Moskwie nie chodzi. Byłem tak zaszokowany, że nawet nie zdziwiłem się, tylko podszedłem do stojącej na przystanku kobiety i zapytałem: „A gdzie zatrzymuje się trolejbus numer sto dwa?" Odpowiedziała, że nie wie. „Jak to? — zapytałem. — Przecież pół godziny temu wysiadłem z tego trolejbusu. Pewnie pani nietutejsza?" Nie odezwała się ani słowem i popatrzyła na mnie z takim oburzeniem, że aż mi ciarki przeszły po grzbiecie. Dobra, myślę, zwariowałem. Lepiej, żeby nikt o tym na razie nie wiedział! I jak gdyby nigdy nic, pytam: „Jak się dostanę na stację metra Port Lotniczy?" — „Chodzi panu o stację Lotnisko? Sześć przystanków autobusem". Rozumie pan coś z tego?

— *Rozumiem* — odparłem. — *Zaraz opowie mi pan o tym, jak po przebudzeniu postanowił pan opowiedzieć swój barwny sen ukochanemu nauczycielowi.*

— *Nic podobnego!* — wykrzyknął Maurice. — *To nie był sen.*

I na dowód prawdy rąbnął pięścią w biurko. Schwytałem w locie telefon. Literatura zna różne formy miłosnego szaleństwa, a u wielu narodów miłosne pasje uważano, bądź nadal uważa się za całkiem naturalną, a w każdym razie nie hańbiącą dolegliwość cielesną.

— *Niech pan posłucha dalej! Kiedy autobus podjechał do stacji metra i zobaczyłem nad wejściem do niej wielki napis „Lotnisko", ułożony ze złotych liter, zrozumiałem, że nie pomyliłem się co do swej diagnozy. Zwariowałem. Po tym odkryciu starałem się głęboko oddychać i myśleć o rzeczach obojętnych. Zjechałem na dół, podszedłem do bramki, znalazłem w kieszeni pięciokopiejkówkę i wrzuciłem ją do automatu, ale moneta utkwiła w szczelinie. Kontrolerka zapytała mnie, o co chodzi i poprosiła o pokazanie mojej pięciokopiejkówki. Pokazałem, a ona powiada, że piątka jest żółta! Pięciokopiejkówki powinny być podobno białe, a nie żółte. I pokazała mi cienką monetę z białego metalu, po czym tak na mnie popatrzyła, jakbym sam swoją pięciokopiejkówkę wyprodukował. Pokornie wyszedłem na ulicę i wie pan, im uważniej rozpiądałem się dokoła, tym silniej zaskakiwała mnie niezgodność szczegółów. Właśnie szczegółów. Generalnie rzecz ujmując, wszystko było normalne, ale szczegóły wołały o pomstę do nieba. Mężczyzna czyta gazetę, której tytuł znajduje się w prawym dolnym rogu zamiast w lewym górnym, tramwaj nie jest żółto-czerwony, tylko zielony i tak dalej... Milczałem. Maurice wyglądał na normalnego. Zniknęły nawet ślady zdenerwowania, tak bardzo rzucające się w oczy na początku jego dramatycznej opowieści. Młody człowiek zapomniał nawet o swojej ukochanej.*

— *Wówczas, na zasadzie hipotezy roboczej założyłem, że znalazłem się w równoległym świecie. Czytał pan kiedyś o równoległych światach?*

— *Nie czytuję fantastyki* — odparłem z nadmiernym oburzeniem w głosie, które zadało kłam memu twierdzeniu, bo skąd niby mógłbym wiedzieć o równoległych światach, gdybym owej fantastyki nie czytywał?

— *Ale i tak pan o nich wie* — powiedział Maurice — *I ta wersja całkowicie oczyściła Nataszę ze wszelkich podejrzeń. Podobnie jak inni zbieracze pieczarek spacerowała po polanie i wchodziła do tego zagłębienia gruntu, które w jakiś sposób łączyło dwa światy, trafiając do świata równoległego i jak gdyby nigdy nic kontynuowała zbieranie ulubionych pieczarek. Całkiem zresztą możliwe, że grzybiarze znają właściwości tego miejsca i świadomie z nich korzystają, nie przykładając do tego większej wagi...*

W tym miejscu zamilkł, pomyślał chwilę i dodał:

— *A może któryś z nich pozostał w równoległym świecie?*

— *No tak, wrócił do domu i spotkał się z samym sobą* — zauważyłem złośliwie, ale Maurice nie zwracał na mnie uwagi.

— *Tak więc, uświadomiwszy sobie, co mi się właściwie przydarzyło, doszedłem do wniosku nieoczekiwanego, że skoro świat równoległy różni się od naszego w szczegółach, to owe szczegóły mogą rozciągać się również na przeszłość. Jestem przecież naukowcem. Gdzie miałem się skierować?*

— *Pod pomnik Puszkina* — zażartowałem.

— *Prawie pan zgadł. Tylko udałem się, naturalnie, nie pod pomnik, który nie był w stanie dostarczyć mi właściwych informacji, lecz do Muzeum Puszkina. Zatrzymałem taksówkę i kazałem kierowcy jechać na Kropotkińską. W czasie jazdy nadal rozmyślałem. A może Puszkin uniknął pojedynku w roku 1837 i żył jeszcze dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat, tworząc nieznane, genialne dzieła? Coraz bardziej zdenerwowany czekającym mnie spotkaniem zapytałem taksówkarza, w którym roku umarł Puszkin. Nie pamiętam — odparł taksówkarz — dawno, ponad sto lat temu. Kierowca był starszawym i pulchnym flegmatykiem, którego poezja zupełnie nie interesowała. Jednak w jego słowach kryła się dla mnie nadzieja. Ponad sto lat, to znaczy lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku. Taksówka jeszcze nie zdążyła się dobrze zatrzymać koło muzeum, kiedy wyskoczyłem z samochodu, wtykając kierowcy dwa ruble do ręki. Na moje szczęście nie patrząc wsunął je do kieszeni. Podbiegłem do drzwi Muzeum Puszkina i nie ma pan pojęcia, co zobaczyłem!*

Maurice popatrzył na mnie wzrokiem skrzywdzonego dziecka.

— *Okropność!* — powiedział tonem cierpiącego Wertera. — *To nie było Muzeum Puszkina! Stanąłem, jak rażony gromem. W tym momencie drzwi się otworzyły i wyszedł z nich jakiś starzec. „Przepraszam — rzuciłem się do niego. — Gdzie jest Muzeum Puszkina?" A on mi na to odpowiada: „O ile wiem, w Moskwie takiego muzeum nie ma. Jest tylko w Kiszyniowie". — „Dlaczego?" — „Ma pan rację, ten wspaniały poeta zasługuje na muzeum swego imienia w Moskwie. Jego wczesna śmierć nie pozwoliła, niestety, na rozwój potężnego talentu..." „Wczesna śmierć! — Krzyczę. — Wczesna śmierć! W którym roku umarł Puszkin?" — „Zginął w pojedynku, na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku w Kiszyniowie" — odparł starzec i odszedł. Opadły mi ręce. Zrozumiałem, że już nic więcej nie mam tam do roboty. Trzeba wracać do domu, bo przecież nigdy nie zdołam nikomu dowieść, że Puszkin, który żył bez mała czterdzieści lat, napisał „Małe tragedie" i „Eugeniusza Oniegina"!*

— *A może warto było zostać* — zaoponowałem. — *Oświadczyłby pan, że znalazł te utwory na strychu i wszyscy by pana po rękach całowali.*

— *A potem zdemaskowaliby mnie jako mistyfikatora* — odparł Maurice zupełnie serio. — *A propos, moja przygoda omal nie zakończyła się tragicznie.*

— *To znaczy?*

— *Miałem przy sobie już tylko pięć rubli w jednym banknocie. Złapałem taksówkę, wróciłem do parku, podałem piątkę kierowcy i myśląc o czymś innym, poprosiłem o resztę.*

— *Co mi tu wtykasz?* — zapytał kierowca.

— *Pieniądze — odpowiadam. — Poproszę trzy ruble reszty.*

I otwieram drzwi, żeby wysiąść.

— *Gdzieś ty wykopał takie pieniądze?* — zapytał kierowca złowieszczym tonem.

I dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę ze swej koszmarnej sytuacji. Jeszcze sekunda, a na zawsze zostanę jeńcem świata, który nie zna późnego Puszkina! Jak strzała wypadłem z samochodu, i popędziłem w kierunku polany, słysząc jak z tyłu łomoce butami kierowca. Pierwszy dopadłem zapadliska terenu, przebiegłem przez nie i usłyszałem głosy robotników stawiających parkan. A przecież jeszcze przed chwilą na polanie nikogo nie było.

— *Stój* — wrzasnął kierowca, wpadając za mną do naszego świata i wczepił się we mnie obiema rękami.

Ale byłem już całkowicie bezpieczny, odwróciłem się więc do niego i zapytałem spokojnym głosem:

— *O co chodzi, towarzyszu kierowco?*

— *O to chodzi!* — potrząsnął moją piątką, niczym kańczugiem. *O to chodzi, że mnie fałszywe pieniądze nie są do niczego potrzebne!*

— *Fałszywe? Chwileczkę. Chodźmy do ludzi, niech zobaczą te fałszywe pieniądze.*

Byłem tak pewny swego, że kierowca posłusznie ruszył za mną w stronę robotników, którzy obserwowali nas z największym zainteresowaniem. Nic dziwnego: ni z tego, ni z owego na polanie pokazało się dwóch mężczyzn i natychmiast zaczął się konflikt. Wziąłem od kierowcy pięciorublówkę, pokazałem ją robotnikom i spytałem:

— *Proszę mi powiedzieć z łaski swojej, co to jest?*

— *Pieniądze* — powiedział jeden z nich. — *Bo co?*

— *A to!* — wrzasnął kierowca — *że takich pieniędzy nie ma!*

— *A jakie są?*

Kierowca wyjął z kieszeni garść banknotów bardzo podobnych do naszych, ale w innych kolorach. Piątka na przykład jest tam różowa, a trzyrublówka — żółta.

Robotnicy patrzyli na kierowcę dosłownie z rozdziawionymi gębami. Jeden z nich wyjął piątkę i pokazał kierowcy.

— *A moje, to też nie pieniądze?* — zapytał z niejaką złością.

— *Pogoń go* — powiedział drugi robotnik. — *Może to jakiś szpieg albo inny waluciarz.*

— *Jaki tam ze mnie szpieg!* — oburzył się kierowca. *Tam stoi mój wóz, z trzeciej bazy.*

I pokazał gdzie powinien stać jego samochód. Sam pan rozumie, iż żadnego samochodu tam nie było.

— *Oj!* — powiedział kierowca. — *Rąbnęli.*

I spróbował popędzić do chodnika na przełaj. Z największym trudem zawróciłem go i skierowałem na zapadlisko, gdzie szczęśliwie zniknął...

Nabiłem fajkę i starannie ją rozpaliłem.

— *Dziękuję za pasjonujące opowiadanie.*

— *Pan mi nie wierzy? Sądzi pan, że go oszukałem?*

— *Nie, bo czegoś podobnego nie potrafiłby pan nigdy wymyślić.*

— *Wobec tego pójdę sobie.*

— *Dokąd?*

— *No Nataszy. Wszystko jej opowiem. Poczułem taką ulgę! Szkoda, że go tam zabili w młodości. Proszę sobie wyobrazić cały świat bez Puszkina!*

— *Wszystko na świecie podlega prawu kompensacji* — powiedziałem. *Nie było Puszkina, ale był za to ktoś inny.*

— *Naturalnie* — powiedział Maurice, kierując się ku drzwiom. Już rozkoszował się myślą, że wtargnie do Nataszy i zacznie jej gadać jakieś głupstwa.

— *Tak* — powtórzyłem — *prawo kompensacji... — A propos, Maurice, w tym domu, do którego pan pojechał, mam na myśli Muzeum Puszkina, co się mieściło?*

— *Też muzeum.*

— *Jakie?*

— *Muzeum Lermontowa* — odparł Maurice. — *No to już pójdę.*

— *Lermontowa? A czy nie można założyć...*

— *Po co zakładać* — uśmiechnął się pobłażliwie mój młodszy kolega — *kiedy tabliczka głosi: „Muzeum Lermontowa. 1814—1879".* — *Co?* — wykrzyknąłem. — *I pan nawet nie zajrzał do wnętrza?*

— *Jestem puszkinistą* — odparł Maurice z wyrazem idiotycznej wyższości. — *Jestem puszkinistą i to wszystko wyjaśnia.*

— *Pan nie jest żadnym puszkinistą!* — *ryknąłem.* — *Pan jest koniem w okularach!*

— *Dlaczego w okularach?* — zdziwił się Maurice.

— *Przecież sam pan przed chwilą współczuł światu, który nie zna „Eugeniusza Oniegina". Czyżby pan nie rozumiał, że sprawę można odwrócić? Drugi rosyjski geniusz tworzył przez co najmniej pięćdziesiąt lat. Lermontow! Pan to może sobie wyobrazić?...*

Ale ten głąb nawet nie drgnął.

— *Z punktu widzenia historii literatury* — oświadczył napuszonym tonem mój puszkinista — *skala geniuszów Puszkina i Lermontowa jest nieporównywalna. Z równym powodzeniem moglibyśmy... Zamilcz, szaleńcze!* — ryknąłem. — *Wypędzę cię z pracy! Jesteś niegodny miana uczonego! Jedynym ratunkiem dla ciebie jest natychmiastowe zaprowadzenie mnie do tamtego świata! Natychmiastowe!*

— *Wie pan* — zaczął mamrotać Maurice — *zamierzałem właśnie pojechać do Nataszy...*

— *Sam z nią porozmawiam. I może pan być pewny, że po tej rozmowie nie zechce nawet spojrzeć na tak nędznego osobnika, jak pan. Prowadź!*

Musiałem wyglądać straszliwie. Maurice przeraził się i pokornie czekał aż przestanę miotać się po gabinecie w poszukiwaniu złotych spinek, które na tamtym świecie miałem nadzieję wymienić na wszystkie dzieła Lermontowa.

Kiedy wyskoczyliśmy z samochodu koło parku, dochodziła już dwunasta. Maurice milczał zgnębiony. Najwidoczniej zrozumiał ogrom własnej zbrodni, popełnionej na szkodę literatury.

Polana była już ogrodzona parkanem, do którego cieśle przybijali ostatnie sztachety. Nie bez trudu udało nam się przedostać na teren budowy.

— *Gdzie?* — zapytałem Maurice'a.

Młody naukowiec był całkowicie zdezorientowany. Pech chciał, że budowlani zdążyli już rozładować na polanie kilka ciężarówek płyt betonowych. Obok stosu płyt spychacz pracowicie zdzierał darń.

— *Gdzieś tutaj...* — powiedział Maurice — *najpewniej gdzieś tutaj...*

Przeszedł kilka kroków śladem buldożera, zatrzymał się z wahaniem i wrócił do sterty płyt.

— *Nie* — powiedział — *nie mam pojęcia... tutaj było takie zagłębienie...*

— *Jakieś kłopoty?* — zapytał operator spychacza.

— *Tutaj było zagłębienie* — powiedział tępo.

— *Było, ale się skończyło* — odparł operator. — *A zamiast niego będzie bar szybkiej obsługi na dwieście miejsc. Zgubiliście coś?*

— *Tak* — powiedziałem. — *Przepraszam, czy przypadkiem coś wam się tutaj nie zapadło pod ziemię?*

— *Tego tylko brakowało!* — roześmiał się operator. — *Gdyby tak moja maszyna zapadła się pod ziemię, narobiłaby wielkiego hałasu.*

Naturalnie niczego nie znaleźliśmy.

Muszę dodać, że w dwa miesiące później Maurice ożenił się z Nataszą.

Maurice'owi, rzecz jasna, wierzę bez najmniejszych zastrzeżeń. Wszystko, o czym mi opowiedział, istotnie się wydarzyło. Ale w naszych stosunkach nie ma już dawnego ciepła.

Z rosyjskiego przełożył:
TADEUSZ GOSK
(Przegląd Techniczny)

DZIWNE I CIEKAWE

JAK ZOSTAŁEM KASKADEREM

Dalszy ciąg ze str. 1

Między jazdą rajdową a popisem kaskaderskim istnieje olbrzymia różnica. Pstrykały flesze. Reporterzy łapali wspaniałe ujęcia. To miał być reportaż do noworocznego numeru gazety. Musiał być wspaniały. Czytelnik lubi czytać o mrożących krew w żyłach wydarzeniach właśnie w święta, kiedy syty jadła i napitku, siedząc w papciach na kanapie, łaskocze system nerwowy takimi właśnie opowiastkami (wiem to od profesjonałów). Wreszcie przyszła kolej na popisy samochodowe.

Kiedy zapytałem, co mam robić, Józek powiedział mi: pokaż, co potrafisz. Wsiadł do samochodu i pojechaliśmy.

Trzy kilometry fajnej, asfaltowej drogi. Kilka ciasnych zakrętów. Jestem spięty jak na maturze. Idę na pełny gaz. W zakrętach trochę nosi. Patrzę na licznik — sto dwadzieścia i jeszcze rośnie; podchodzę do zakrętu, już dawno powinienem zwolnić, pocę się ze strachu, ale trzymam tę szybkość. Jestem w zakręcie, kozłuje mnie jak cholera. Pół zakrętu przechodzę pełnym ślizgiem czterokołowym. Odejmuję gaz, przód łapie przyczepność. Teraz tylko tył się ślizga. Dwie krótkie kontry i już prosta. Spoglądam na Józka. Nic, kamienna twarz, żadnego wzruszenia. Postanawiam wykonać popisowy numer ,czyli obrót o 180 stopni. Zwalniam do siedemdziesiątki, podcinam kierownicę, szarpię ręczny hamulec i już jadę w przeciwnym kierunku. Ten numer też nie wywołuje wrażenia na moim egzaminatorze.

Wracamy do stadniny, gdzie oczekuje cała grupa. Zastajemy ich przy karmieniu koni cukrem. Oczekuję na wrażenia z jazdy. Jestem jeszcze rozgrzany wrażeniem i szybkością. „Może by się pan przejechał na koniu" — proponuje Józek. Ogarnia mnie wściekłość, tak się starałem dobrze pojechać, a ten mi tu konia proponuje. Teraz popisywała się dziewczyna, robiła przewrotki, skok tygrysem, pady judowe, jeździła na stojąco na koniu. Patrząc na to — czułem, że moje umiejętności to tylko maleńki wycinek tego, co oni potrafią.

Kiedy przy kawie omawialiśmy wykonane zadanie, zapytałem — co musiałbym zrobić, żeby zostać kaskaderem? „W pańskim przypadku wystarczy tylko zdać egzamin" — odpowiedział Buba. „Ma pan odpowiednią licencję sportową, książeczkę zdrowia sportowca, teraz tylko egzamin, chociaż właściwie część egzaminu ma pan już za sobą". „Co musiałbym zrobić na egzaminie?" — pytałem coraz bardziej zaintrygowany. „Niech pan przyjdzie jutro do wytwórni filmowej. To trzeba zobaczyć".

Zaprowadzili mnie do ogromnej hali, w której stała niska, drewniana rampa i stary, zdezelowany volkswagen.

— Trzeba to pudło przewrócić w czasie jazdy na dach. To proste, wystarczy się rozpędzić i wjechać na tę rampę — poinstruował mnie Józek. — Zrobiłby pan coś takiego?

Pochopnie odpowiedziałem: — tak, to nic trudnego.

— No to bardzo proszę.

Zamurowało mnie na chwilę.

— Jak to?

— Powiedział pan przecież, że to proste, więc jeżeli pan chce, może pan próbować.

Słowo się rzekło, rajdowa ambicja nie pozwalała się wycofać. Wsiadłem do blaszanki, zapiąłem pasy, założyłem kask i zacząłem się bać. Po co mi ta zabawa? Jednak wstyd się wycofać — ludzie patrzą. Zapalam silnik. Pali wspaniale, auto — ruina, ale silnik znakomity. Ruszam. Jedynka, dwójka — najeżdżam na rampę. Auto unosi jeden bok i opada na cztery koła. Zbyt mała szybkość. Wracam i jeszcze raz rozpęd. Pełna desperacja. Jedynka, dwójka — pełny gaz, na liczniku sześćdziesiątka, rama, huk, trzask i po wszystkim. Odprowadzam wrak na miejsce i wysiadam Nogi jak z waty.

— No, to witamy nowego kaskadera.

Przez chwilę nie kojarzę, że to do mnie.

— Znakomicie pan to zrobił, właśnie potrzebny jest nam kaskader do spraw samochodowych. Wystarczy podpisać wniosek i jest pan pełnoprawnym kaskaderem.

Podpisałem. Dopiero później dowiedziałem się, iż Waldek zrobił zakład z kaskaderami o to, że nie wytrzymam i kaskaderki jednak spróbuję. Wygrał — jestem kaskaderem.

„LUNATYK" — taki tytuł miał film, w którym zagrałem pierwszą w swoim życiu rolę kaskaderską. Miałem chodzić po krawędzi dachu 10-piętrowego wieżowca, następnie spadać z wysokości IV piętra, tak, aby kamera mogła uchwycić wyraz mojej twarzy w czasie lotu. Próbowałem wyjaśnić reżyserowi, że jestem kaskaderem samochodowym i pewnie przez pomyłkę zaproszono mnie na plan tego filmu. W odpowiedzi usłyszałem, żebym nie marudził, bo nie ma na to czasu. Jeżeli jestem kaskaderem, to potrafię robić wszystko, co trzeba w każdym filmie.

— Kamera? — gotów! Światło! Cisza na planie!

Tak się zaczęło. Noc, w oczy świeci mi reflektor, nic nie widzę! Krawędź, po której mam iść, ma szerokość dwóch stóp. Po prawej ręce przepaść głęboka na kilkadziesiąt metrów. Jestem uwiązany na linie, ale jej luz wynosi trzy do czterech metrów. Jeżeli spadnę, to lina nie pomoże, bo nadzieję się na pręty rusztowania, które oplatają budynek jeszcze nie oddany do użytku. Samopoczucie mam podłe, drżę cały. Jest bardzo zimno, wieje silny wiatr, to jeszcze bardziej utrudnia zadanie.

Kręcimy! Idę, moimi krokami kieruje asystent operatora. Ręce wyciągnięte przed siebie — jak na lunatyka przystało. Prawa noga do wewnątrz, teraz lewa, krótszy krok, tak, teraz dobrze. Po trzykrotnej próbie jestem mokry od potu. Reżyser zadowolony, ujęcie dobre. Kolejny kadr, spadanie. Staję na balkonie czwartego piętra, w dole rozłożona mata. Z góry wygląda jak chusteczka do nosa. Skok próbny. Uf, najgorsze to się zdecydować. W czasie lotu strach jest potężny, chce się krzyczeć z przerażenia. Nie wolno. Nawet na twarzy strach nie może być widoczny. Lunatyk spadając nie wie, że spada, wobec tego nie boi się i twarz ma spokojną. Powtarzaliśmy skok z dziesięć razy. Nareszcie koniec.

W czasie kręcenia serialu „Daleko od szosy" miałem za zadanie przejechać Trabantem tuż przed maską Jelcza, kierowanego przez instruktora nauki jazdy, który na planie zastępował bohatera filmu. Człowiek ten nie mógł zrozumieć, że jego zadaniem jest jechać tak, aby poważnie zagrozić samochodowi Trabant, który przecina mu drogę. Zaczynał hamować, co na planie nie dawało zamierzonego efektu. Wielokrotne próby nie zadowalały reżysera. Kierownik produkcji powiedział kierowcy Jelcza, że zmienia ujęcie i teraz będzie tylko przejazd prosto, bez imitacji wypadku. Mnie zaś powiedział, że na dany znak mam jechać najszybciej jak potrafię i przemknąć przed maską tego Jelcza. Przygotowania trwały dłuższą chwilę. Wreszcie jest znak. Ruszam z piskiem opon, zmieniam biegi nie zdejmując nogi z gazu, dojeżdżam do skrzyżowania. Już go widzę. Kierowca Jelcza pewny, że droga jest zabezpieczona, patrzy prosto, nie widzi mnie jeszcze. Zobaczył mnie, kiedy byłem już prawie na masce jego wozu. Kopnął hamulec. Ten ułamek sekundy pozwolił mi przemknąć bezkarnie. Prawie otarliśmy się o siebie. Kiedy zatrzymałem samochód i wysiadłem, powitały mnie oklaski przygodnych widzów. To był znakomity dubel.

Mój najlepszy dotychczas numer kaskaderski wykonałem w filmie „Płomienie", kiedy przejechałem Syreną z szybkością 90 km na godzinę przez przejazd kolejowy tuż przed pędzącą lokomotywą.

Przed wykonaniem tego dubla bałem się, jak nigdy dotychczas. Zdawałem sobie sprawę z tego, że w starciu z lokomotywą nie mam żadnych szans i jeżeli źle obliczę czas przejazdu, to zrobię to ostatni raz w życiu.

Pierwsza próba — przejeżdżam przez przejazd ciut za wcześnie, pociąg w tym czasie jest dziesięć metrów od przejazdu. Szef kaskaderów sądzi, że to był bardzo dobry przejazd i przestrzega mnie przed brawurą. Robimy drugie ujęcie, teraz już się nie boję, ruszamy. Przejeżdżam przez przejazd w momencie, kiedy pociąg na niego wjeżdża. Znakomicie. Zachwytom ekipy filmowej nie ma końca. Pech, zacięła się kamera. Musimy powtarzać dubel. Boję się, że teraz już tak dobrze mi nie pójdzie. Denerwuję się Start. Jadę bardzo szybko, ciut za szybko. Na zakręcie przed przejazdem kolejowym wpadam w poślizg, kontruję, wpadam na przejazd, a tuż za bagażnikiem — pociąg. Przez chwilę nic nie widziałem, gdyż okryła mnie para z lokomotywy.

Kiedy wróciłem do grupy filmowej, blade twarze tych ludzi powiedziały mi, że tym razem poważnie przeholowałem. Z miejsca, w którym obserwowali mój przejazd, wyglądało to tak, jakby lokomotywa uderzyła w samochód. Solidny łyk koniaku, jakim poczęstował mnie reżyser, powiedział mi, że to był cudowny dubel. Nie chciałbym go jednak już powtarzać. Zawsze chciałem mocno żyć. Ale jednak — żyć.

KAZIMIERZ KOLINKA

EUGENIUSZ IWANICKI

WYPRAWA PO BIAŁE RUNO

Kazała stanąć mu w kolejkę do taksówki, a sama poszła po papierosy. Nie zatrzymywał, parogodzinna podróż nie była odpoczynkiem. Łucja uwielbiała dynamikę, każdą bezczynność przeżywała na swój sposób. Twierdziła, że przyczyną jej śmierci, stanie się bierność. Któregoś dnia usiądzie w miękkim fotelu, otuli nogi pledem, odrzuci głowę, przymknie oczy. A po paru godzinach będzie po wszystkim. Na jej obrazach wszystko było podporządkowane ruchowi. Nawet jeśli była to kompozycja czerni i bieli, to wzajemny układ dwu barw wyzwalał u patrzącego uczucie pędu, dążności ku czemuś. wzajemnego zmagania, niebywałej energii. Trudno było określić na czym polega to zjawisko, lecz nawet krytycy przyznawali, że każdy obraz Łucji wyzwala niepokój, nakazuje wzmóc i przyspieszyć rytm naszych pragnień, proponuje pęd ku czemuś bardzo odległemu choć do końca nieokreślonemu. Łucja broniła się przed takim zaszufladkowaniem. Skoro — mówiła — wszystko pozostaje nieokreślone, to znaczy, że brak w moim malarstwie idei. To nie jest prawda. Z matematyczną ścisłością określam cel. Trzeba umieć patrzeć i mieć wyobraźnię. Wówczas wszystko stanie się proste i zrozumiałe. Krzysztof starał się nie zabierać głosu w takich przypadkach. Sądził, że jego oczy zostały pozbawione możliwości rozpoznawania piękna w rzeczach prostych i opatrzonych. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego ciemna plama umieszczona na białym polu nie wywołuje w nim żadnego uczucia.

Kiedyś, zaraz na początku ich znajomości, Łucja usiłowała namalować jego portret. Próba ta o mało nie skończyła się ostatecznym zerwaniem. To, co ujrzał, wprawiło go w zdumienie. Już samo użycie kolorów było zaprzeczeniem zdrowego rozsądku. Fioletowo-czarna twarz, zielonkawe włosy, kasztanowe oczy, a przy tym złamane proporcje, co sprawiało wrażenie, jakby potężne tornado albo trąba powietrzna skręciły jego rysy w niebywałą spiralę. Poszczególne części twarzy zostały dokładnie przemieszczone, przez niektóre ich fragmenty przeświecały jakieś kościoły, pociągi, uprawne pola. Całość robiła przytłaczające i smutne wrażenie. Krzysztof stał milcząc i zadając sobie w duchu pytanie, czy mieszkające w nim demony istotne emanują z taką siłą, że wprawne oko artysty może je uchwycić? Jednak wkrótce doszedł do przekonania, że to Łucja widziała go takim, że jest dla niej chaosem bez możliwości ładu i ciszy. Kiedy powiedział jej o tym, rzuciła w niego paletę. Zerwanie wisiało na włosku. Portret, który uważała za jedną z lepszych swoich prac, został zamalowany na czarno. Po dziś dzień, wśród rupieci, wala się ów kawałek zakurzonego płótna.

Kiedy przyszła ich kolej i taksówkarz ułożywszy walizkę w bagażniku zapytał dokąd ma ich zawieźć, Krzysztof bez namysłu podał adres pracowni. Dostrzegł lekki uśmiech na ustach Łucji. Był wdzięczny szoferowi za jego obecność, przynajmniej nie musiał wysłuchiwać zbędnych komentarzy. Usadowiła się wygodnie, wyjęła papierosy, poczęstowała kierowcę, podała pudełko jemu. Krzysztof zrewanżował się użyczając jej swojej zapalniczki.

Gdyby można było tę podróż przedłużyć, sprawić by nigdy się nie skończyła! Teraz jest cisza, delikatna intymność, siedzący na tylnej kanapie Krzysztof widzi na tle przedniej szyby kontur głowy Łucji drgający w rytm drgań samochodu. Domy, tramwaje, oświetlone korytarze ulic mkną na ich spotkanie, mijają, pozostają w tyle, wyciekają z pamięci, gubią się. Na ich miejsce zjawiają się nowe, większe, bardziej jasne. I tak nieustannie. W końcu wszystko się zatrzymuje zamiera, traci swoją niezwykłość.

Wysiadają. Wdrapują się na poddasze po betonowych schodach. Ktoś wykręcił żarówki i trzeba iść po omacku. W ciemnościach ich ręce co jakiś czas spotykają się na poręczy, lecz dłoń Łucji jest chłodna i obca.

— Wiesz — Łucja nagle staje — może ja cię kocham? Nie myślałeś o tym?

Serce zatrzymuje się, język nie chce odlepić się od podniebienia, czerń wypełnia oczy. Kpi?

— Ty to mówisz? — przemaga się, chcąc nadać głosowi obojętne brzmienie.

— Powiedz: myślałeś o tym?

— Myślałem — mówi głucho. — Sama wiesz.

— To dobrze, czasem potrzeba mi nie tylko twojej obecności.

— Łucjo...

— Tssss... — nakazuje milczenie, schodzi parę stopni niżej, szuka jego ust i mocno objąwszy za szyję, zastyga. Krzysztof wie, że w takiej chwili Łucja jest gotowa na wszystko. Jednakże nie zdarzyło się dotąd, aby sama, w okolicznościach bądź co bądź niezwykłych (brzydziła się czułości w bramach, na korytarzach, pod ścianami budynków itp.), pierwsza zrobiła krok ku niemu. Napełnił się przeto radością i ciepłem, jakiego na próżno szukał przez te lata. Czekał na tę chwilę nie wierząc, że kiedykolwiek nastąpi.

— Myślę, że straciłam rozum — mówi Łucja szeptem. — Jesteś świadkiem mojej klęski.

— To zwycięstwo, kochanie, nasze zwycięstwo.

Ale Łucja wyrywa się, biegnie na górę, szamocze się z zamkiem, otwiera i nie zapalając światła, zaczyna zrzucać z siebie ubranie. Jej pośpiech jest gwałtowny, jak wszystko cokolwiek czyni.

— Prędzej! — ponagla Krzysztofa. — Prędzej!

Pada stojąca lampa, sypie się szkło. Potrącony nogą jakiś sprzęt toczy się po podłodze i z siłą uderza w sztalugę. Ręce Krzysztofa przesuwają się po gładkiej skórze, usta wędrują wzdłuż ciała. Pod jego dotykiem dziewczyna zwija się, pręży, wydaje przeciągły jęk. Gdzieś w głębi zaczyna narastać ogień, początkowo umiejscowiony w jednym punkcie, lecz wkrótce obejmuje ręce, nogi, przemyka wzdłuż grzbietu, wybucha w mózgu. Czerń pracowni rozjaśnia się, świecą przedmioty, ich intensywny blask wzmaga się z sekundy na sekundę, staje się nie do zniesienia, przechodzi w intensywną czerwień i połączywszy się z buszującym w ciele ogniem wystrzela nagle gwałtownym strumieniem mogącym podpalić wszechświat. Łucja czuje ten ogień, chce się przed nim bronić, ale pęd ku przepaści nie pozwala na ucieczkę. Tak piękną może być tylko śmierć, z której rodzi się życie. Bo to właśnie jest tym początkiem i końcem, którego nie sposób uniknąć. Więc wznoszą się na sam szczyt czegoś niezmierzonego, wysoko jak tylko można i targani palącym ich ogniem walą się w przepaść pełną nagłej ciszy i bezwładu.

Powoli oczy przyzwyczajają się do ciemności, z której wyłaniają się kontury przedmiotów. Obok, na wyciągnięcie ręki, stoi tapczan, dalej stolik, pod ścianą aż do sufitu wznosi się ogromny, stylizowany krzyż, zamówienie proboszcza z Bobrówki. Jest to wypalona w glinie konstrukcja osadzona na stalowym kośćcu. Krzyż jest nie tylko symbolem cierpienia. Łucja wkomponowała w poszczególne jego fragmenty sceny z życia Chrystusa. Niestety, ktoś z kurii biskupiej zakwestionował tę rzeźbę. Uznano ją za nazbyt śmiałą, wręcz szokującą. I tak została w pracowni budząc żywe zainteresowanie odwiedzających. Wzdłuż ścian stoją oparte obrazy, ciemne teraz i martwe, jak wszystko co jest pozbawione światła. Pod oknem. Krzysztof raczej się domyśla niż dostrzega, leżą projekty strojów dla lalek w teatrze. Z lewej, przy drzwiach, całą ścianę zajmuje biblioteka. Za parawanem znajduje się mini-kuchnia i podręczny składzik papieru, farb, płótna.

Usiłuje się podnieść, ale Łucja przytrzymuje go, przyciska, przyciąga do siebie. Jej ciało jest gorące, wilgotne, spragnione jego ciężaru. Leży biała na szorstkim, wytartym dywanie, nie czując twardości parkietu.

— Byłem nieostrożny — mówi cicho Krzysztof.

Ręce Łucji wplatają się w jego włosy, nachylają głowę ku sobie. Dotyka ustami jego twarzy delikatnie i z czułością.

— To dobrze, mój reproduktorze, tak powinno być.

— A jeśli? — Zamiera w niepewnym oczekiwaniu.

— Nazwiemy Agatką lub Czarkiem. To ładne imiona, prawda?

— Bardzo ładne.

Łucja leży chwilę bez ruchu, potem otwiera oczy, wpatruje się w pochyloną nad nią twarz mężczyzny, jakby ujrzała go po raz pierwszy.

— Cooklwiek to będzie, chcę aby było podobne do ciebie — mówi. — Z moją urodą żaden człowiek nie zrobi kariery.

Krzysztof chce zaprzeczyć, wydaje z siebie jakiś pomruk, ale Łucja kładzie mu dłoń na ustach.

— Ciii... Tak właśnie będzie. Jesteś barbarzyńcą, to prawda, ale pięknym barbarzyńcą.

Powoli, łagodnie napływa gdzieś z głębi ów nieznośny ogień, który sprawia, że czas zatrzymuje się w miejscu. Usta zaczynają niecierpliwie smakować jasną i gładką skórę dziewczyny, przygotować ją do nadchodzącego pożaru. Łucja to przeczuwa, wybiega mu naprzeciw, na oślep rzuca się w ową urzekającą, słodką otchłań. Cała staje się ruchem, jak jej obrazy, jak stojące pod ścianami rzeźby. Twarz ściągnięta w bolesnym grymasie, pionowa zmarszczka między brwiami, otwarte usta, zamknięte oczy. A przecież widzi światy i barwy wyraźniej niż poprzez okulary. Jedna że wszystko to zostaje przysłonięte przez twarz Krzysztofa, która niby kopuła nieba, nachyliła się nad nią. Ogień wzmaga się, płonie cały wszechświat, brakuje oddechu, krzyk rozsadza piersi, łzy ściekają wzdłuż nosa i Łucję ogarnia zniewalająca ciemność.

— Żyję? — dziwi się po chwili. — Zdawało mi się, że to już koniec.

Krzysztof leży na wznak, ręce szeroko rozrzucone, potężna klatka piersiowa unosi się miarowo i opada.

— Co to było? — pyta Łucja. — Umarliśmy?

— To była śmierć i zmartwychwstanie — mówi głucho Krzysztof. — Oboje odbyliśmy daleką podróż, z której przywieźliśmy najcenniejszą zdobycz, jaką jest miłość.

Łucja milczy. Położyła dłoń pod policzek, znieruchomiała

— Pić — szepcze po chwili. — Boże, jak mi się chce pić!

Fragment powieści pod tym samym tytułem, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

O DOBRYCH TOWARZYSZACH

Nasz doktor Hiszpan opuścił kompanię,
Poszedł spać trzeźwy i ponoć nie wstanie.

Rozyna usta odjąwszy od dzbana
Śpi cztery wieki, a wciąż niewyspana.

Matematyka, co ozdobił Olimp,
Uxor nie czyni towarzyszom g'woli.

Pawełka żuraw więcej nie ukole,
Nie uzna z kości, że ów Pigmeolem.

Marcin i żaden, którym opowiadał
Swych ślubnych koni więcej nie dosiada.

Kasi nikt nago nie maluje w łaźni,
Od czterech wieków nie Gąska, co błaźni.

Z szałwii nikt Wenus nie czyni podarku,
Milczy jak Konrat lutnia po Bekwarku.

Do ziemi wpadła owa głowa biała,
Co gościom z mężem do łaźniej kazała.

Poseł papieski śpi w czarnej kanonii,
Już nie nawraca grzeszników i koni.

Do ziem się wtoczył Koziel, miast do chlewa...
I tylko słońce Raka nam przygrzewa.

O Persefono gładka, twęż to dzieło!
Sroższaś zdrajczyni niźli Anakreont!

Drogą Orfeja zszedłeś z lutnią, Janie,
Po Twą ucieszną a wdzięczną kompanię...

Czy próżno?... Nieba ją darzą dyspensą:
Cieszy się zdrowiem pod zmrużoną rzęsą.

DO KONIUSZA

Czołem za cześć, łaskawy mi wielce Koniuszu,
Imię Twe rad mianuję na tym karteluszu,
Przydając mu najwyższy w Bractwie naszym tytuł:
Nie wzbraniajże mi, Prezes Jegomość zaszczytu,
Zwól, by rymy te, których nie ważę zbyt lekce
I nie chcę, by za trąbki służyły w aptece,
By te rymy, powiadam, w dostatnim Twym dworze
Stawiły się w ordynku na Zielonej Gorze.
Gdy zdziwią się czytacze: czemuż tam aż biegą —
Powiedz im, że nas łączy cultus dla Wojskiego
Ziemi Sandomierzowskiej i gdy fenomena
Błysną nocne, gadamy, bywało, o Trenach,
A potem, kiedy dzbanem się człek namozolił,
I o rzeczach, co dobrym towarzyszom g'woli,
W tym o Hannie jak krzemień, co sił swych nadmiarem
Nie chciała nam sługować. Nie gańże mnie, Care,
Iż wydwarzam w języku janoorfejowym,
Choć insze poetyki dziś nasze i mowym.
Słuszna, rzeką, czcić mistrzów negacyją. Wierę.
Ty czynisz tak z Przybosiem, ja z Tadkiem Papierem.
Jedno co Jana tycze, z zoilów ichmościów
Nikt nie wytknie mi wpływów ani zależnościów.
Mój tej obiór konwencji to nie wydwarzanie,
Ale hołd i jakoby żołtarza śpiewanie.

EFFECTUS MONUMENTI

„Nieznajomy wróg*) jakiś miesza ludzkie rzeczy,
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy" —
Słów tych Nestor czy Platon czy mędrzec terazski
Accedit, non accedit, lecz nie ma za fraszki.

Bo komu Lotofagi nie wzięły rozwagi,
Przyzna, że myśl to umna i srogiej odwagi
W leciech swych i nie lada piórem opatrzony
Mąż, jak Orfej, ze dwojej natury złożony.

Lecz świat, gdy zmarł, kto dziełami wyrósł nad czas dany,
I mar nie słał, i niechał żołtarzów śpiewanych...
I do dziś tam nie słyszysz o nim wspominania
Ni w przelicznych językach wierszów powtarzania.

Lecz gdy w kopę lat później w zamorskiej Brytanej
Wyrzekł „Być albo nie być — oto jest pytanie"
Niezwykłym i nie lada piórem opatrzony
Wtóry twórca ze dwojej natury złożony —

To nie sami w szkutnictwie przedni Anglikowie,
Lecz i Moskwa, i o nim wiedzą Tatarowie,
Niemiec, Hiszpan waleczny, twory jego znają

Ci, co z faunami strumień tybrowy pijają.
Od wieków nie ustają o nim wspominania
I w przelicznych językach wierszów powtarzania...
Bo różne nici losu Parki nacjom wiją,
Nie każdego jednako artes kocha Klio.
Bo i nie wszystkich ziemia była pustoszona
I nie dla każdej wolność rzecz nie przepłacona,
I nie każdy lud stąpał po drugich narodach,
I nie każdego naszła w domu jego szkoda.

*) Wróg (arch.) los.

W CZARNOLESIE

Wieś spokojna, miodna, pszenna.
Z nieba świecą fenomena.
Mąż rogaty gra w południe
Na syrindzie prawie cudnie,
Na naprawach rządu zna się,
Stukom siekier sprzeciwia się.

Wieś spokojna, miodna, senna.
Z nieba świecą fenomena.
O duńskiego króla corę
Rycerz Borzuj gra z Fiodorem,
A księżniczka u sąsieka
Na zwycięzcę szranków czeka.

Wieś spokojna, miodna, pszenna.
Z nieba świecą fenomena.
Płynie w dal skroś mgieł bielidła
Z ćmy pławaczka białoskrzydła,
W niej z nadobną panią w bieli
Gładki pan przy karabeli.

Wieś spokojna, miodna pszenna,
Z nieba świecą fenomena.
Błazen wedle wrót z Hiszpanem
Bawią się dzbanem pisanym...
Pełznie smok, lew ryczy srogi...
Nie boi się dom ubogi.

Wieś spokojna, miodna, pszenna,
Z nieba świecą fenomena.
Wedle lipowego drzewa
Gospodarz carmina śpiewa...
Miast skał ziemnych suną w tanek
Panny zielem przepasane.

Wieś spokojna, miodna, pszenna,
Z nieba świecą fenomena...
Pan wsi życie ma za bajkę:
Wsiadł schorzały w taratejkę,
Gdyż otrzymać jako żywo
Chce... u dworu sprawiedliwość.

TEATR WIĘKSZEGO ZAUFANIA

Andrzej Barański w filmie „Wolne chwile" zajmuje się sytuacją sztuki w rzeczywistości podporządkowanej życiowemu pragmatyzmowi. Teatr studencki kierowany przez Krzysztofa Kwaśniewskiego (Krzysztof Majchrzak), jest potrzebny animatorom studenckiego życia kulturalnego ponieważ — jak mówi szef Komisji Kultury — „na moim terenie mają się kształtować różne tendencje". Poza tym z teatrem można wyjechać za granicę, na teatrze można w ogóle wyjechać, wypłynąć. Nawet studencka spółdzielnia może liczyć na wykorzystanie teatru w swoich przedsięwzięciach reklamowych. Kwaśniewskiemu chodzi o coś więcej — o prawdę. Ma ona jednak wówczas sens, gdy jest przez kogoś oczekiwana. Tymczasem teatr studencki — to bez względu na ambicje reżysera i aktorów — zajęcie w wolnych chwilach, zajęcie ludzi, którzy prędzej, czy później skończą studia i będą musieli zabrać się za coś zupełnie innego. Biada tym, którzy uwierzą, że robią rzeczy naprawdę ważne. Zwłaszcza, jeżeli teatr działa na uczelni technicznej, a nazywa się Teatrem Większego Zaufania.

Program TWZ zakłada wcielanie utopii w życie: aktor zapewnia widzów, że wywiąże się z pewnego zadania (np. recytacja wiersza) po czym znika w dźwiękoszczelnej kabinie i realizuje obietnicę, o czym nikt nie może się przekonać, czego nikt nie może sprawdzić. Zaufanie polega jednak właśnie na tym, aby nie było potrzeby kontroli. Aktorzy studenckiego teatru podchodzą do pomysłu początkowo nieufnie, dopiero później ktoś zauważa, że przy braku kontroli nie jest potrzebne oszustwo. Uśmiechamy się z pomysłu reżysera, tak jakby nie wyrastał z autentycznej sytuacji społecznej. Co prawda w obrębie działań artystycznych można liczyć na ewentualne rezultaty. W życiu nikogo to nie obchodzi. Główni antagoniści w konflikcie o mecenat studenckiego klubu to Kwaśniewski i Banasik — ostro wchodzący w życie kulturalne z kabaretem w składzie „Banasik, Adamczyk, dwie dziewczyny ze szkoły pielęgniarskiej w tym narzeczona Adamczyka". Chociaż wszystko ich dzieli — pod pewnym względem są bardzo podobni. Obydwaj wierzą uparcie w jakąś własną fikcję. Pierwszy w potrzebę docierania w sztuce do prawdy. Drugi w oczekiwanie w środowisku studenckim na spojrzenie satyryczne. I nie jest ważne to, że jeden i drugi są prawdopodobnie lichymi grafomanami. Cały problem w tym, że u obydwu działanie wyrasta z autentycznej pasji, choć w nierównym stopniu są śmieszni i zarazem tragiczni. A najważniejsze wreszcie to, iż od obydwu — tak naprawdę, serio — nikt niczego nie oczekuje. Oczywiście Banasik jest w lepszej sytuacji i może przetrwać — bo w gruncie rzeczy potrafi traktować to, co robi instrumentalnie. Gorzej z reżyserem — Kwaśniewskim, który wymaga od rzeczywistości, aby traktowała go całkowicie poważnie.

Ostatecznie świat wywiera presję na teatr, jak i na kabaret. Ten ostatni i tak (mimo starań jego kierownika) nie utrzyma się. Po prostu jego sala nie spełnia wymagań bezpieczeństwa: ma za słabe stropy. Teatr nie wystawi swego spektaklu. Po prostu dźwiękoszczelna kabina nie da umieścić się na scenie, a nawet w ogóle w teatrze: z winy wąskich drzwi. W tej sytuacji reżyser może zaproponować tylko zaopatrzenie kabiny w koła i przemianę teatru w wędrowny. To zerwanie ze stałym miejscem pobytu Teatru Większego Zaufania pozornie tylko związałoby go silniej z życiem. Przecież ciśnienie rzeczywistości na teatr nie może być większe niż opisują to „Wolne chwile". Ale rzecz — z punktu widzenia reżysera — Kwaśniewskiego — polega właśnie na tym, aby oporu świata w ogóle nie brać pod uwagę, aby działać bez względu na jakiekolwiek przeciwności.

Sytuacje z filmu Barańskiego — w których czyjeś prawdziwe zaangażowanie w to, co się robi, z trudnością przebija się przez nieokreśloną, pragmatyczną codzienność — domagają się wyjaśnienia poza płaszczyzną jednostkowych doświadczeń. Bo — mimo że wszystko dzieje się wokół spraw teatru — wiadomo, że nie tylko o teatr chodzi. W przypadku wydarzeń rozgrywających się na scenie tradycyjnie już doszukujemy się uogólniających metafor.

W tym filmie realistyczne widzenie rzeczywistości przeczy takim próbom. Warto jednak spojrzeć dokładniej na postać reżysera TWZ. Klub studencki otrzymuje fundusze. Można zakupić sprzęt, zamówić piwo i rozpocząć działalność kulturalną. Wszystko jest w porządku dopóki nie zjawi się ktoś, komu naprawdę o coś chodzi. A że to coś jest indywidualne, własne? Że Kwaśniewski nie przemawia w imieniu żadnej grupy? Że jego działalność wymyka się skutecznie sprawozdawczości ze studenckiego życia kulturalnego?

Bohaterowi „Wolnych chwil" — tak jak niegdyś Tadziowi z „Palca bożego" — chodzi o niepodporządkowanie się, nieliczenie z bezduszną rzeczywistością w zgodzie z osobistymi celami i racjami. Dla bohatera ważne jest oczywiście to, co robi, ważny jest cel. Dla nas — widzów — ważniejsze staje się pytanie: „dlaczego?" Pytanie to zadajemy — patrząc na bohatera z dystansu, jak na postać wyjątkową, z którą trudno się utożsamić. A przecież niecodzienność doświadczeń i dążeń reżysera jest w gruncie rzeczy pozorna. Może po prostu po to, aby w obojętnym świecie niezobojętnieć, a w nieokreślonej rzeczywistości zachować własną odrębność. Po to, aby w TWZ nie uwierzyć nigdy, że prawda w kontaktach między ludźmi może stać się fikcją. Aby robić rzeczy w życiu niemożliwe.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

CHŁOPIEC Z RÓŻĄ

Debiut Wiesława Trzeciakowskiego jest drugą z kolei książką nagrodzoną przez jury Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi. Poprzednik Trzeciakowskiego, Mirosław Boruszewski, wydając swoją *Krew i czekoladę* (1977), niestety, zawiódł odbiorcę. A zawiódł dlatego, że obok kapitalnego, właśnie nagrodzonego, cyklu tytułowego, w którym pracę ludzką ustawił na cokole równie strzelistym jak za pozytywizmu bywało, odpatetyczniwszy ją jednocześnie, uczyniwszy z niej podstawową powinność moralną człowieka i zarazem źródło jego radości — powtykał do książki także wiersze nijakie, *mądralińskie*, banalne. Zawsze podejrzewam, że ataki np. na Platona, jakie wychodzą spod piór początkujących poetów, wynikają nie z lektury jego dzieł lecz z wieści gminnej, prawiącej iż tenże za artystami nie przepadał.

Chłopiec z różą Trzeciakowskiego nie zawiera wierszy przebojowych, jakimi owe *Rozmowy z Majstrem* Boruszewskiego niewątpliwie były. Jest to natomiast książka znacznie spójniejsza, gdyż ukazuje konsekwentną wizję świata.

Dawno nie czytałam wierszy równie wyciszonych. Zdaje się, że poeta przemówi do tych, którzy w sposób konwencjonalny traktują odbiór poezji. Nie wyobrażam sobie tych wierszy recytowanych z estrady, czy emitowanych przez radio. Sądzę, że wówczas straciłyby wiele ze swego wdzięku. Tę przedziwną poezję trzeba czytać samemu, w ciszy, w skupieniu i w spokoju ducha.

Motywy stale się w niej pojawiające to: matka, dom, dzieciństwo. Spośród powszechników najczęściej przywołuje poeta Prawdę, Dobro, Sprawiedliwość. Zwracają też uwagę aluzje religijne: franciszkańskie z ducha i panteistyczne w pomyśle.

Poeci w naszym kraju, w zależności odwrotnie proporcjonalnej do odbiorców, rodzą się jak grzyby po deszczu. I — tego paradoksu nie sklasyfikowałby zapewne sam Zenon z Elei — każdy rok wydawniczy przynosi nam z sobą nowe pokolenie pisarskie. Każdy zdyscyplinowany członek neogeneracji pisze naturalnie w jej imieniu i każdy (tu kłaniają się nasze tradycje poezji wieszczej) próbuje naprawić świat, nie zdając sobie sprawy, iż po to, aby go choć zrozumieć, potrzeba dużej wiedzy społeczno-politycznej i historycznej. Hasło skądinąd bardzo użytecznego pana Słodowego — *zrobimy to sami* (liczba mnoga oczywiście dzięki świadomości pokoleniowej debiutantów) — przeniesione na nowy grunt, bo chodzi tu już nie o wycieraczkę, lecz o naprawę Rzeczypospolitej, sprawia, że powstają utwory, nazwijmy to opisowo, w warstwie merytorycznej niedoskonałe.

Podstawowym walorem wierszy Trzeciakowskiego jest to, iż mówi on od siebie, nie naśladuje swych kolegów. Opowiada się za poetyką zaproponowaną przez awangardę krakowską, lecz:

miało być tak
mniej słów
więcej treści
ale jest
zdrada
zwyczajna zdrada treści.

Są to wiersze zdecydowanie ponad przeciętną debiutancką, jak się to ślicznie nazywa — produkcję, sprawne warsztatowo. Trzeciakowski nie tylko wie, co chce przekazać swemu odbiorcy, ale wie również, w jaki sposób ów list (bo czymże innym jest tekst poetycki, jeśli nie listem) zredagować.

W tej poezji razi mnie jedynie pewna skłonność do definiowania: *Miłość to jedyna prawda, Wszystko ma serce / jeśli spracowane* itp. Wolę bowiem, gdy definicje z zakresu etyki wychodzą spod piór Tatarkiewiczów.

I jeszcze jedno. Tomik jest rzeczywiście udany, świadczy o talencie młodego poety i o jego wrażliwości. Z reguły jednak już po wierszach debiutanckich można przewidywać, na co poetę stać będzie w przyszłości. Tymczasem jest to poezja tak stonowana, że smutek w niej, mimo dramatycznych spięć go wywołujących, to tylko smuteczek, melancholia; tęsknota to niemalże młodopolska tęsknica (w wersji niesatanicznej). Co się stanie z tą poezją, gdy Chłopiec z różą przemieni się w Mężczyznę? I co się stanie z różą, gdy Mężczyzną zatrzęsą nerwy? Gdy zamiast na smuteczki, przyjdzie czas na rozpacz?

Przyznaję, że na kolejne książki Trzeciakowskiego czekam z dużą ciekawością.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Wiesław Trzeciakowski, Chłopiec z różą, Łódź 1979, Wydawnictwo Łódzkie, ss. 67, cena 10 zł, „Biblioteka Poetycka".

RÓŻNE TONY GITARY

Gitara jest instrumentem starym, ale spopularyzowanym szerzej dopiero pod koniec wieku XVIII. W tym czasie wykształciły się dwie zasadnicze szkoły gry: włoska — z techniką poduszkową prawej ręki i fakturą homofoniczną (Carcassi, Carulli) oraz hiszpańska, stosująca technikę paznokciową, chwyty barré i polifonię (Aguado, Sor).

Po pewnym osłabieniu zainteresowania gitarą w wieku XIX, jej ponowny awans nastąpił w naszym stuleciu. Można powiedzieć, że owa następczyni lutni i vihueli pełni obecnie dość uniwersalną rolę w kulturze muzycznej. Znajduje zastosowanie zarówno w tzw. elitarnym nurcie kultury, jak i popularnym, masowym. Jest niemal synonimem muzyki rozrywkowej, od czasów Langa i Christiana ma swe stałe miejsce w jazzie, a za sprawą Tarregi i Segovii weszła na dobre do muzyki poważnej.

W ostatniej z wymienionych dziedzin ranga gitary wzrasta. Świadczą o tym choćby cieszące się coraz większym zainteresowaniem konkursy wirtuozowskie i kompozytorskie (np. w Belgradzie, Genewie, Monachium, Palermo czy Paryżu), międzynarodowe kursy interpretacji, liczne wydawnictwa specjalistyczne jak i — przede wszystkim — pokaźna ilość adeptów uczących się na gitarze klasycznej w szkołach muzycznych wszystkich stopni.

Rozwój gitarystyki w Polsce nastąpił po II wojnie światowej Później niż w innych krajach. Nie było u nas tradycji w tym względzie, zawiązały się one właściwie dopiero wraz z utworzeniem w Łodzi Ośrodka Gitarowego Ludowego Instytutu Muzycznego. Ośrodek ten spowodował wprowadzenie gitary do szkolnictwa muzycznego — najpierw średniego, potem wyższego — a teraz zajmuje się całokształtem problematyki artystycznej i metodycznej. Tak więc, podkreślmy to wyraźnie, właśnie nasze miasto z działającymi w nim znanymi gitarzystami (m. in. zasłużonym wielce dla całego ruchu Kazimierzem Sosińskim) stanowi promieniujące na cały kraj centrum polskiej gitarystyki. Tutaj też organizowane są co kilka lat ogólnopolskie konkursy odtwórcze.

Laureat I nagrody Leszek Potasiński
Foto: A. Porczyk

W tym roku (6—9. 12.) odbył się kolejny taki konkurs (IV Ogólnopolski Konkurs Wykonawczy Gitary Klasycznej). Zgromadził on 20 młodych instrumentalistów, głównie studentów PWSM. W trakcie przesłuchań mających miejsce w sali filharmonii, oceniło ich jury, któremu przewodniczył prof. Józef Powroźniak. Obowiązkowy program nie był łatwy. Zawierał utwory b. zróżnicowane — od barokowych (suity Bacha) po współczesne (Koncert Hawela). Nie wszyscy uczestnicy byli w stanie poradzić sobie już z samymi tylko trudnościami technicznymi. Brak należytej precyzji szedł często w parze z ułatwieniem sobie zadania przez stosowanie wolniejszych temp, zawodziły również umiejętności kształtowania dźwięku (nagminne „połykanie" tonów, „głuche" współbrzmienia) oraz frazy. Nieliczni tylko mogli usatysfakcjonować. Należeli do nich laureaci: Leszek Potasiński z Warszawy (I nagroda), łodzianie — Andrzej Wendland (II nagroda) i Artur Semczyszyn (nagroda III), wyróżniony Jacek Łozak z Warszawy, a poza nimi — nie uhonorowany, niestety, Mirosław Franczak z Katowic.

Zarówno przesłuchania konkursowe, jak i finałowy koncert laureatów, miały kompletny publiczności. Młodzież kibicująca imprezie mogła chyba stwierdzić co następuje: instrument tak powszechnie używany w kilkuakordowym pseudograniu (czytaj: brzdąkaniu), staje się wyjątkowo oporny i trudny, gdy trzeba na nim rzeczywiście cośkolwiek zagrać. Ale w sprawnych rękach gitara nie jest już ubogą krewną skrzypiec i fortepianu.

JANUSZ JANYST

EX-LIBRIS ODGŁOSÓW

ZŁODZIEJ

W pięknej szacie graficznej w serii „Kolekcja literatury radzieckiej" ukazała się powieść Leonida Leonowa „Złodziej".

Powieść ta, napisana w 1924 roku, stworzyła młodemu autorowi opinię „ucznia Dostojewskiego". Wpływ „Zbrodni i kary" jest tu niewątpliwy

„Złodziej" w Polsce został po raz pierwszy wydany w okresie międzywojennym. Obecne wydanie jest poprawione i znacznie rozszerzone przeez samego autora. W powieści Leonow wprowadza nas w mroczny klimat spelunek, kombinatorów, wyrzuconej poza nawias burżuazji i byłej szlachty. Pokazuje sylwetki ludzi wykrzywionych przez wojnę, zawiść ludzką zbrodnię, a jednocześnie zakompleksionych, pełnych niepokoju, utajonych namiętności i skrywanych miłości. Trudno doszukać się w nich ludzkich odruchów, a mimo to budzą nasze współczucie, bo obserwując ich wiemy że nic ich nie uratuje dążą do zagłady i samozatracenia. Ten niepojęty dla nas świat rządzi się swoimi prawami, ludzie ci mają, choć wydaje się to nieprawdopodobne, swój honor i własny kodeks. Potrafią szanować cudze uczucia, chociaż sami są ich często pozbawieni. Cenią zwykłego złodzieja głównie za to, że potrafi on jeszcze kochać swoją siostrę.

Książka interesująca, pokazująca od innej nieco, mniej nam znanej strony okres porewolucyjny w Związku Radzieckim.

Leonid Leonow — „Złodziej", przekład: Stanisław Leśniewski PIW, W—wa 1979, str. 640, cena zł 100,—

GRZESZNICA

Edna O'Brien znana jest naszym czytelnikom z książek „Dziewczyna o zielonych oczach" i „Czekając na miłość...". Książka ta, podobnie jak poprzednie, opowiada o świecie kobiet. Dziewięć opowiadań zawartych w tym tomiku to dziewięć różnych losów kobiecych kobiet z różnych środowisk, w różnym wieku, zarówno mieszkanki Londynu jak i z zacofanej wsi irlandzkiej. Wszystkie one, pomimo pewnych życiowych sukcesów, które często okazują się pozorne, pomimo wyrwania się z zacofania obyczajowego i ekonomicznego, pomimo demonstrowanej niezależności, padają ofiarą własnej wrażliwości, bezbronności, a także specyficznej pozycji społecznej.

Czytelnik znajdzie tu m. in. opowieść o młodziutkiej, pięknej, wiejskiej dziewczynie uwiedzionej przez drobnego urzędnika bankowego i zmuszonej do małżeństwa z nim przez opętanych obsesją hańby rodziców; znajdzie również smutną historię kobiety, mieszkanki wielkiego miasta, która w przeddzień wyjazdu do szpitala dla nerwowo chorych analizuje swoje niby to pełne sukcesów, lecz w gruncie rzeczy samotne i nieudane życie.

W sumie wszystkie opowiadania podejmują problem samotności, niespełnionej miłości. Wszystkie utrzymane są w nastroju oczekiwania, niepewności, zmienności, braku stabilizacji. Książka pomimo ciekawych w sensie fabularnym opowieści, jest głęboko pesymistyczna, przygnębiająca i raczej nie do czytania do poduszki.

Edna O'Brien — „Grzesznica", przekład: Maria Zborowska, KiW, W-wa 1979, str. 201, cena zł 20,—

ŻYJ JAK INNI I BĄDŹ BŁOGOSŁAWIONY

Tytuł tej powieści jest nieco przewrotny; sugeruje, że mamy do czynienia z balladą, czy przypowieścią. Tymczasem jest to powieść, która łączy w sobie elementy fantastyczno-przygodowe, science fiction z absurdem i czarnym humorem.

Jej główny wątek stanowią przygody weterynarza Tanewa, który w magiczny sposób, za pomocą pełnej koncentracji, przenosi siebie i swojego psa z zapadłej wsi na transoceaniczny statek i odbywa wędrówkę po egzotycznych morzach i lądach. Pilnie przygląda się wszystkim wydarzeniom dziejącym się na statku, a w niektórych nawet uczestniczy. Niczemu się nie dziwi, nie jest zaskoczony, kiedy w jednym z krajów, jakie odwiedzają, dokonuje się niecodziennego zamachu stanu. Zamach ten przeprowadzają jednocześnie, a niezależnie od siebie dwie grupy. Co ciekawsze, jedna z tych grup stanowi tylko jeden człowiek z zabytkowym karabinem w nieco dziwnym, trudnym do zidentyfikowania mundurze.

Tanew, wędrując po tym trochę zwariowanym świecie, wymyślonym przez autora, dostarcza czytelnikom wiele interesujących refleksji na temat naszej współczesności. Obraz tej współczesności jest nieco przejaskrawiony i pokazany w krzywym zwierciadle, ale w ten sposób bardziej przemawia do naszej wyobraźni. Obserwujemy realizację bezsensownych zarządzeń, które wprowadzają absolutny zamęt w gospodarce (Na przykład: w bazach z paliwem umieszczonych w kilkudziesięciu punktach na morzach w różnych stronach świata zdarzały się nadużycia. Aby więc je zlikwidować, zredukowano ilość tych baz do kilku zaledwie, łatwiej je wtedy kontrolować. W ten sposób statki, aby nabrać paliwa, muszą odbywać tak długą drogę że czasem jest ona dłuższa od całego rejsu. A jeżeli okaże się że w bazie jest kilkumiesięczny remanent, to statki stoją i czekają na paliwo czasem i pół roku).

Miron Iwanow — „Żyj jak inni i bądź błogosławiony", przekład: Marzena Iljewa, Czytelnik, W—wa 1979, str. 218, cena zł 21,—

PROPOZYCJE

SKĄD BIORĄ SIĘ BIUROKRACI?

Młodzież mamy coraz dorodniejszą i coraz ciekawszą świata. Narzekamy wprawdzie na nią, ale, o ile dobrze pamiętam, kiedy ja byłem młody, to też na mnie narzekano. Podstawowym zmartwieniem mojej babci było nieustannie powtarzane pytanie: — Marcinku, co z ciebie wyrośnie? Coś tam ze mnie wyrosło, choć nie wiem, czy moja babcia byłaby ze mnie dumna. Teraz też się martwimy, co z tej młodzieży wyrośnie, a wszystko toczy się wedle utartych reguł. Z zupełnie nijakich młodzieńców wyrastają zdolni, utalentowani dorośli, a z dobrze zapowiadających się, często nic ciekawego nie wyrasta. Przeciętności, jak zwykle, jest sporo. I na dobrą sprawę, to zupełnie nie wiadomo, czy cieszyć się, że młodzież jest znakomita, czy martwić się. Bo mogłoby się przecież wydawać, że im więcej z młodzieżą kłopotów, im bardziej ciekawa ona świata, poszukująca i buntownicza, to tym więcej pewności, że wyrosną z niej nieprzeciętni ludzie. Z drugiej strony, jak się człowiek za młodu wyszumi, to na starość będzie marzył tylko o ciepłych pantoflach, fotelu i furt będzie oglądał telewizję. I tak źle i tak niedobrze.

A młodzież ciekawa jest świata. Ten świat nieustannie atakuje jej wyobraźnię. Co z tego wynika? Różne rzeczy. Ja na przykład dawno temu wiedziałem, że zostanę kominiarzem, bo bardzo mi się podobało łażenie po dachu. Później zmieniłem życiową decyzję i postanowiłem zostać strażakiem, bo strażakom gra orkiestra, mają błyszczące chełmy, łażą po drabinach i jak jadą do pożaru to dzwoni im taki mosiężny dzwon. To były jeszcze czasy konnej straży pożarnej, a i później, kiedy konie zamieniono na samochody to też używano dzwonów. Później znów zmieniłem zdanie i chciałem zostać architektem i ożenić się z córką lekarza, który mi często zaglądał do gardła, a ona była moją koleżanką w przedszkolu (wcześnie się wtedy zaczynało, ale dzisiejsi przedszkolacy też nie są gorsi), później miałem być inżynierem elektrykiem i marzyłem już o zupełnie innej panience. A czym to się skończyło sami Państwo widzicie.

Niedawno usłyszałem, że pewien młodzieniec w bardzo młodym wieku, zapytany, kim chce być, odpowiedział: każdym po trochu. Wszyscy się ucieszyli z tej odpowiedzi, że niby taka mądra, że bardzo młody człowiek rozumie już złożoność świata, i wie, że każdy zawód jest ważny, potrzebny, pożyteczny i piękny. A ja zupełnie nie wiem, czy z tej odpowiedzi cieszyć się, czy nie. Bo ów młody człowiek dał odpowiedź wymijającą. Co to znaczy: wszystkim po trochu? To znaczy — nikim. Już mi się bardziej podoba inny młody człowiek, który chciał być emerytem, bo miałby dużo czasu, nic nie robił, pan listonosz przynosiłby mu pieniądze, a jak dziadzio by zachorował i leżał w łóżku, to on opowiadałby dziadziowi bajki. Nic nie robienie u tego młodego człowieka poświęcone było wyższemu celowi, służeniu dziadkowi. I to go usprawiedliwia.

Dawniej tacy młodzi ludzie pytali: skąd się biorą krasnoludki? Dziś młody zupełnie człowiek, który powinien martwić się o krasnoludki, pyta zupełnie serio: skąd się biorą biurokraci? Ba, gdybym to ja wiedział. Ale czyż mogę się przyznać do ignorancji. Więc odpowiadam uczenie: — z życia. — A co to jest życie? — na to przemądrzały brzdąc. — Opowiem ci bajkę o krasnoludkach — wywijam się, jak mogę. A on: — Ja wolę bajkę o biurokratach.

No a tak naprawdę, to skąd się biorą biurokraci? Wojciech Lamentowicz w „Kulturze" dowodzi, że ze sprzeczności nieantagonistycznych, które są właściwe naszemu społeczeństwu. Wiadomo, że motorem społecznego rozwoju jest przezwyciężanie różnych sprzeczności. Negowanie tych sprzeczności jest niedialektyczne i co najmniej nierozsądne. Na przykład biurokratyzm musi rodzić sprzeczność między centralizmem a biurokratyzmem, między planami rozwoju gospodarki a możliwościami ich realizacji. Szukanie źródeł biurokratyzmu — twierdzi W. Lamentowicz — w ludzkiej niekompetencji, nieudolności i niedbalstwie jest zbytnim uproszczeniem.

To wyjaśnia, dlaczego mądrzy, kulturalni ludzie, o szerokich horyzontach, gdy zasiądą za biurkiem bezradnie rozkładają ręce, tłumacząc, że oni nic nie mogą, że są tylko kółkiem w maszynie, że to gdzieś tam, ktoś za nich decyduje. Tylko, jak wszyscy będziemy rozkładali ręce, to kto będzie te sprzeczności przezwyciężał? Same się nie przezwyciężą. Dawno już przestałem wierzyć w automatyzm rozwoju społecznego.

Kończy nam się 1979 rok. Jaki był, taki był, wszyscy mamy nadzieję, że 1980 będzie lepszy. Dołączając się do tych nadziei, chciałbym życzyć miłym i sympatycznym Czytelnikom, aby w NOWYM ROKU jak najmniej mieli do czynienia z biurokratami, żebyśmy zamiast rozkładać ręce, połączyli je razem w przezwyciężaniu różnych sprzeczności, bez rozwiązania których nie popchniemy sprawy naprzód.

MARCIN RODAK

Z GALERKI

ANDRZEJ MAY (Połaniecki)

Zwierciadełko powiedz mi,
Czym naprawdę był tak zły?

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

LEWYM OKIEM

MLECZNA DRÓŻKA

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że średnia wydajność pracy u nas jest wciąż jeszcze dużo niższa niż w wielu uprzemysłowionych krajach świata. Niższa jest też — chociaż rośnie szybko — wydajność roli z hektara, niedawno zaś dowiedzieliśmy się, że nasze krowy nie są pilniejsze od nas: średnia roczna ilość mleka od jednej krowy wynosi u nas 2831 kg, gdy w Danii — 4501, w Szwecji 4846, a w Stanach Zjednoczonych aż 3073 kg. Najsmutniejsze zaś, że wydajność ta spada, zamiast rosnąć, zwłaszcza w wielkich fermach hodowlanych. Zachodzą przy tym zjawiska, całkiem dla laika niezrozumiałe. Oto w „Przeglądzie Technicznym" napisał Jacek Urbański tak: „Nie ma się co dziwić, gdy niekiedy litr mleka wyprodukowanego w pegeerze kosztuje 30 złotych". A nam się wydawało, że jest się czemu dziwić...

Nikt z nas ani pomyślał, że mleko ma coś wspólnego z elektrycznością. A oto pisze w „Polityce" doktor Paweł Zirpel z Poznania: „Dzięki zawartości tłuszczu mleko jest słabym tylko przewodnikiem elektryczności. Po usunięciu części tłuszczu z mleka zmienia się jego stan elektryczny, a w następstwie sposób zużycia mleka przez organizm. Stąd częste zaburzenia trawienia u osób spożywających mleko odtłuszczone".

Takie osoby to my wszyscy, bo mleka nie odtłuszczonego w sprzedaży nie ma w ogóle. Wraz z tłuszczem pozbawia się też mleko zdolności wytwarzania w organizmie ludzkim jakichś tam ważnych neurohormonów, które to odkrycie stanowiło jeden z sukcesów doktora Schally, naszego rodaka i laureata nagrody Nobla. Komu Nobel, komu hormony. Nam zaś zostaje mleko lekko błękitne, przezroczyste, znajdowane co rano za drzwiami.

Roznoszenie mleka po domach to duży organizacyjny wyczyn i wielu naszych sąsiadów nam go zazdrości. Wańkowicz zbudował sobie specjalnie skonstruowaną skrzynkę, bo butelki ciągle ginęły. Teraz też giną, ale puste. Wystawiamy je wieczorem za drzwi, a rano nie ma. Ponieważ nie ma — roznosiciel wali w drzwi ze zrozumiałą wściekłością, bo my śpimy a on już tak wcześnie pracuje. Nie czeka nawet parę sekund na podejście do drzwi, wali drugi raz i trzeci, bez przerwy, aż osiąga swój cel: budzimy się wszyscy jak jeden mąż, także ci z nas, którzy ledwie że się położyli po powrocie z delegacji służbowej. Ale o tym roznosiciel nie musi wiedzieć.

Zanim rozstawi butelki, niesie je z hałasem niefrasobliwym, z ogłuszającym brzękiem ciska skrzynie o bruk, krzyczy coś z czwartego piętra do żony i na odwrót. Nikt złego słowa nie powie, bo ludzi do tej roboty brak. Pracując — ciężko, to prawda — dwie godziny dziennie, zarabiają więcej niż początkujący magister inżynier. Ale ciągle brak chętnych.

Czasem dostajemy z góry pięć litrów zamiast jednego, czasem wyrównują nam niedobór z paru dni wstecz. Nie wiem, jak to jest możliwe: czy spółdzielnie skupują w czwartki mleko na piątek, wolną sobotę i niedzielę? Czy krowy dają się w takie dni potrójnie doić? W każdym razie robimy wtedy na obiad mleczne zupy, stawiamy na zsiadłe, fabrykujemy twarożki, kąpiemy się w mleku. Odtłuszczonym, ale zawsze. Twarożki wychodzą nam ostatnio lepiej niż specjalistom, pokazywanym w kronikach filmowych. Nie umiemy jeszcze sporządzać kefiru i jogurtu, ale specjaliści też widać nie umieją, bo w sklepach tego nie ma. — „Pan zażyje 40 tabletek antybiotyku i wypije co dzień buteleczkę kefiru" — mówi lekarz. Ale kefiru nie wypiję i uszkodzi mi się flora jelitowa. Tyle już się nauczyłem z literatury popultarnomedycznej.

Mamy za to pyszne serki przetłumaczone na obcy język: fromage. Czy „biały" to kolor? Kolor. A „czarny" to też kolor? Kolor. Ojej, to nie wiedziałem, że mam w domu kolorowy telewizor. Czy „fromage" to twarożek? Oczywiście. To świetnie, bo mało brakowało a napisałbym, że twarożku też nie ma w sprzedaży.

ĆWIEK

ZAMIAST FELIETONU

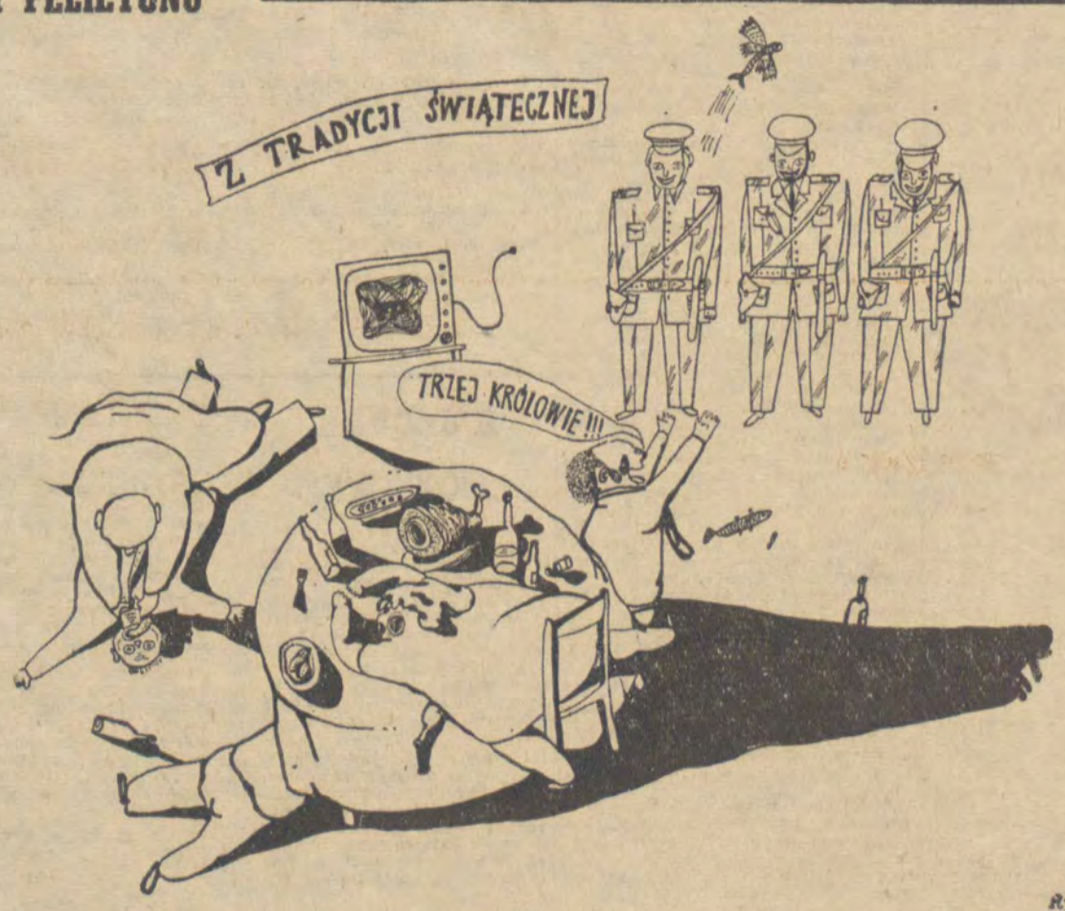

Rys. Andrzej Tylczyński

SPORT

JUŻ NIEDŁUGO IGRZYSKA

Lekarz ma być strażnikiem przy wejściu do wioski olimpijskiej. Prokurator ma sprawdzać bilety. Jego przeciwnik z sali sądowej, adwokat będzie zatrudniony jako recepcjonista w hotelu. To nie jest, broń Boże, pomysł na karnawałową maskaradę. Jak doniosły agencje, mieszkańcy Lake Placid przygotowują się po prostu do przyjęcia zawodników i gości XIII Zimowych Igrzysk Olimpijskich. Organizatorzy zwrócili się do mieszkańców Lake Placid i sąsiednich miejscowości z apelem o społeczną pomoc na czas trwania igrzysk. Chętnych było około 6 tysięcy, nie wszyscy się jednak nadawali. Kryteria widać były ostre, skoro lekarz, prokurator i adwokat pełnić będą zaszczytne, acz dość podrzędne funkcje porządkowych. Swoją drogą ciekawa jestem, ilu naszych prezesów związków sportowych, klubów i innych organizacji ze sportem związanych zgodziłoby się stać przy bramie, zamiast zajmować należne sobie miejsca na trybunach. Na szczęście nie jesteśmy organizatorami igrzysk. I bardzo dobrze.

Lake Placid już raz było organizatorem zimowych igrzysk olimpijskich. Działo się to między 4 a 15 lutego 1932 roku. Były to trzecie z kolei zimowe igrzyska, przypomnieć bowiem należy, że pierwsze zorganizowano w roku 1924 w Chamonix. Francuzi, którzy w tymże samym roku byli organizatorami VIII Olimiady w Paryżu, podjęli się również organizacji Tygodnia Sportów Zimowych, słusznie licząc, że ów „Tydzień" zostanie oficjalnie uznany za Pierwsze Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Zaproszenia do Chamonix wysyłał wówczas Francuski Klub Alpejski, program „Tygodnia" obejmował wszystkie konkurencje zimowych sportów prócz saneczkarstwa i jego odmiany — skeletonu. Na starcie stanęło 293 uczestników, wśród nich tylko 13 kobiet, z 16 krajów. W Chamonix zadebiutowała również reprezentacja Polski. Sukcesów nie było. W 1924 roku nie chodziło zresztą o sukcesy, ale o to, aby po prostu być obecnym na igrzyskach.

Sukcesów co prawda nie zanotowaliśmy i na następnych zimowych igrzyskach w 1928 roku w Sankt Moritz, stamtąd również nie przywieźliśmy ani jednego punktu. O sukcesie można by mówić dopiero w 1932 roku w Lake Placid, gdzie nasi hokeiści zajęli czwarte miejsce. Można by mówić, gdyby nie fakt, że w Lake Placid wystąpiły tylko cztery zespoły hokejowe: gospodarzy, Kanady, Niemiec i Polski. Były to igrzyska dla Europejczyków zbyt drogie, ze względu na koszty podróży. Dość powiedzieć, że takie potęgi w sportach zimowych, jak Szwecja i Finlandia wysłały do Stanów Zjednoczonych niewielkie ekipy: Szwecja — 12 zawodników, Finlandia — 7. Polska, która potęgą w sporcie nie była, wysłała 16 zawodników. Szwecja zdobyła w Lake Placid jeden złoty medal i dwa srebrne, Finlandia — jeden złoty, jeden srebrny i jeden brązowy. Polska — 3 punkty i miejsce 12 na 17 krajów startujących.

Na pierwszy medal w zimowych igrzyskach olimpijskich musieliśmy czekać długo. Przywiózł go z Cortina d'Ampezzo w 1956 roku Franciszek Groń-Gąsienica, który wywalczył dla Polski trzecie miejsce w kombinacji klasycznej. Lepiej było już na następnych VIII Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Squaw Valley. Dwie łyżwiarki — Elwira Seroczyńska i Helena Pilejczykowa wywalczyły srebrny i brązowy medal w wyścigu na 1 500 metrów. Potem znowu było parę lat przerwy i dopiero w 1972 roku, na XI Zimowych Igrzyskach Olimpijskich w Sapporo świętowaliśmy triumf Wojciecha Fortuny, który, niespodziewanie i dla nas samych, przeskoczył konkurentów na dużej skoczni i zdobył złoty medal. Pierwszy — i jak do tej pory jedyny złoty medal dla naszych barw w konkurencjach sportów zimowych.

Za niecałe dwa miesiące rozpoczną się XIII Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Lake Placid. Ten króciutki, a nie bardzo imponujący bilans naszych sukcesów, nie powinien wprawdzie kibicom odbierać wszelkiej nadziei, ale warto o nim pamiętać. Nie łudźmy się, potęgą w sportach zimowych nie jesteśmy nadal, kto wie, czy kiedykolwiek będziemy. Z ostatnich igrzysk wróciliśmy z jednym tylko punktem. Zapowiadano głębokie analizy przyczyn porażki, wyciągnięcie wniosków, zrewidowanie polityki sportowej w poszczególnych związkach. Mówiono o tym, co trzeba zrobić, aby...

W ciągu 4 lat, które minęły od niesławnej klapy w Innsbrucku wyrósł nam jeden zawodnik, który potrafi wygrywać z najlepszymi — Józef Łuszczek. Potrafi wygrywać, bo umie jeździć na nartach, solidnie pracuje i ma dobrego trenera. Ale jeden Łuszczek wiosny nie czyni.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11 kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680 99. 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł. kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 2942. A-14.

Załącznik nr. 57/.../79

HASŁO NUMERU: Szanuj swoje zdrowie. Nie przesiaduj na kaloryferze.

Chleb z dodatkiem

LUBLIN. Zdarzały się już różne rzeczy w chlebie. Ktoś znalazł gwoździe, a ktoś mysz. Ale pieniędzy w chlebie jeszcze nie było. Palmę pierwszeństwa zdobyli piekarze z Lublina. Kilka osób zgłosiło się do redakcji w Lublinie przynosząc chleb faszerowany monetami. Za przykładem kolegów z Lublina poszli piekarze z Nałęczowa. Jeden z nabywców chleba w Nałęczowie znalazł w nim 3 dwuzłotówki i jedną pięciozłotówkę. Taki chleb opłaca się kupować.

Nie naśladować!

BUENOS AIRES. Polska Agencja Prasowa doniosła, że na stacji Santa Cruz pod Rio de Janeiro pasażerowie spalili pociąg z zemsty za jego opóźnienie. Podobnie postąpili pasażerowie na stacji Sao Paulo.

My na szczęście odznaczamy się dużo mniejszym temperamentem, a także rozsądkiem. Gdybyśmy chcieli w taki sposób mścić się na PKP na opóźnienia pociągów, to już nie byłoby czym podróżować po kraju.

Na wszelki jednak wypadek prosimy: n i e n a ś l a d o w a ć!!!

WIADOMOŚCI Z DALEKA I BLISKA

Żarty Pana Witolda

WARSZAWA. Jerzy Adamski opublikował w „Expressie Wieczornym" recenzje z „Trzeciego Programu (prawie rewia)" Teatru Syrena. Tytuł recenzji: „Pan żartuje, Filler!".

W recenzji tej Jerzy Adamski imputuje Witoldowi Fillerowi, dyrektorowi Teatru Syrena, że „wpadł na pomysł: pokazać w „Syrenie", jak nie należy robić „Syreny". Przedni żarcik!"

„Trzeci program" — pisze J. Adamski — „to rewia tego wszystkiego, czego — jak Dyrektor Filler sam mówił przed rokiem — być w teatrzyku nie powinno:
balet, któremu myli się krok, orkiestra, której nie staje nut, głośniki, którym wypada dźwięk, autorzy, którym brakuje słów, i tak dalej, i tak dalej, lecz nie dosyć na tym."

Ale Jerzy Adamski ma wątpliwości, że może jednak to nie jest żart, że może Witold Filler na serio tak pomyślał aby zrobić zły program i nie może w to uwierzyć.

Cóż, czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają. Kto dziś pamięta o tym co mówił przed rokiem. Czas płynie szybko, słowa rozpływają się. Dlaczego więc Witold Filler miałby pamiętać o tym, co mówił przed rokiem. Dlaczego drogi panie Jerzy Adamski?

S.Z. Peracs

Rys. Jan Zieliński

MEMENTO MORI

Prasa doniosła o tajemniczym odkryciu na budowie nowego osiedla w Sochaczewie, gdzie podczas robót przy wykopach pod przewody hydrauliczne natrafiono na wielkie ilości czaszek i kości ludzkich. Podejrzewa się, iż są to szczątki ofiar epidemii pochowane w miejscu w którym w XIII wieku istniał klasztor benedyktyński.

„Głos Robotniczy" informując o tym znalezisku zamieścił dwa zdjęcia. Uderzyło nas, że w wykopie, gdzie dokonano odkrycia, leży już gotowa, ułożona na jego dnie rura, wokół zaś rury znajduje się jeszcze wiele porozrzucanych szczątków. Najwyraźniej więc ten odcinek rury kładziono już po stwierdzeniu, co jest w wykopie...

Czyżby pośpiech wynikły z terminów budowlanych był silniejszy nawet od szacunku dla przodków?

(sol.)

NATYCHMIAST!?

„CZY CHCE PAN ZOSTAĆ PLANTATOREM?" — pyta w „Głosie Robotniczym" Andrzej Smyczek.

Wielu czytelników wykrzyknie niewątpliwie: natychmiast, bardzo chętnie! I zobaczy siebie na Jamajce popijającego rum i wachloki". Żaden rum, dziewczęta, a z dala cicho szemrze ocean.

Nic z tych rzeczy. Andrzej Smyczek pyta, czy panowie zechcieliby zostać plantatorami... truskawki „faworytki". Żaden rum, dziewczęta i szum oceanu was zatem nie czeka. Więc...

N.N.

PODEJRZENIE

Ktoś, kto wysłał życzenia świąteczne do znajomych, mieszkających w Lublinie na ul. Irydiona, to musiał zrezygnować z podania kodu: w książce oznaczeń kodowych nie ma bowiem takiej ulicy, ani żadnej innej zaczynającej się na literę „I" (jest natomiast wiele na „J", ale to — jak wiadomo — nie to samo). Ten brak skłania nas do brzydkiego podejrzenia, że ul. Irydiona jest jedyną w Lublinie ulicą zaczynającą się na literę „I", i że w związku z tym została przeoczona, bądź Wydawcy spisu kodów nie chciało się po prostu poświęcać jej osobnego miejsca.

(t.s.)

RYSZARD DOROBA

NO I JAK?!

Jak pan może, kolego,
słuchać, jak Iks wciąż plecie,
że — rzecz jasna — bez niego
źle by było na świecie?!

A tymczasem z nim licho,
a tymczasem z nim marnie!
Kiedy znajdzie się taki,
co mu wszystko wygarnie?!

Już bym dawno to zrobił,
prawdę wyrżnął mu w oczy...
(Gdybym mógł mieć tę pewność,
że na mnie nie naskoczy.)

POSTĘP

Niektóre gazety doniosły, że w miejscowości Zdwócz w województwie płockim spłonął „star"! wraz z ładunkiem, którym były papierosy „Sport" i „Klubowe". Straty przekroczyły milion złotych.

Co wynika z tej wiadomości?

Po pierwsze — spełniło się przeznaczenie papierosów, spaliły się. Skoro palenie szkodzi, a papierosy spaliły się bez udziału palaczy, to mamy z tego tylko zysk.

Po drugie — jest się z czego cieszyć. Zdarzało się, że kiedyś spłonął wagon z zapałkami. I zapałki ocalały! Dokonaliśmy więc postępu.

Po trzecie — nie ma się więc czym martwić.

P. A. LACZ

Od pewnego czasu spotykam na pudełkach do zapałek pochodzących z ZPZ „BYSTRZYCA" napis: n a p e ł n i a n e a u t o m a t y c z n i e.

MAM PYTANIE

A jak napełniano pudełka zapałkami do tej pory w ZPZ „BYSTRZYCA"? Ręcznie?

To musiało być bardzo męczące zważywszy, że napełniono miliony pudełek.

KRZYSZTOF SŁOCZYŃSKI

CHOCHLIK KOLEJOWY

Chochlik chyba kolejowy, zniekształcił w numerze świątecznym życzenia jakie składaliśmy ministrowi komunikacji. Finał życzeń powinien brzmieć:

By pekaes, gdy się dotrze
wiózł towary nie powietrze,
by limity miał pan teraz, a nie potem.

I gdy nowy rozkład jazdy *
wreszcie resort twój rozdrażni
— byś do Łodzi mógł przylecieć samolotem.

PKP — przyp. J.K.

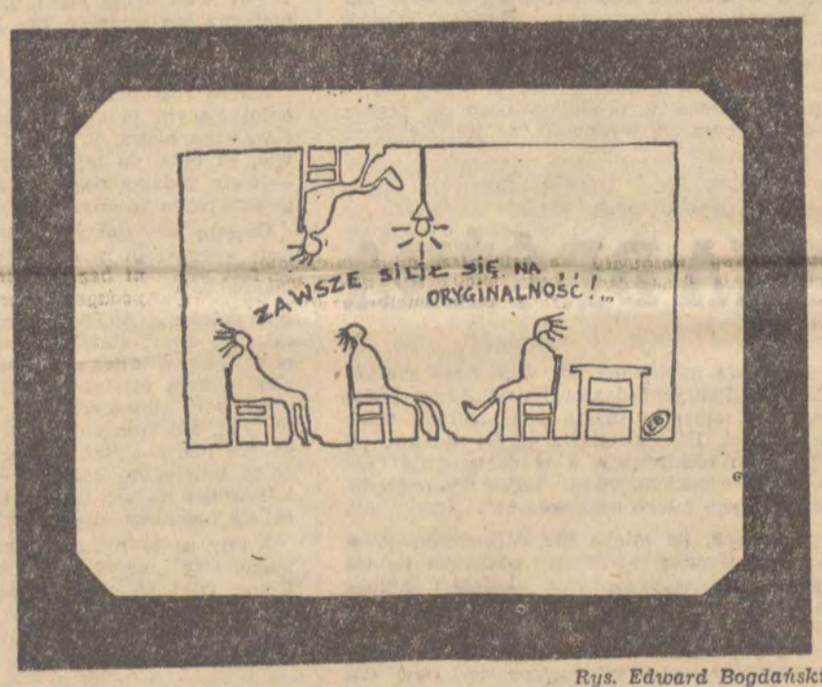

Rys. Edward Bogdański

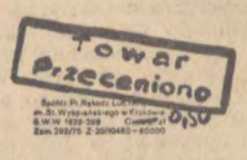

Takie oto, całkiem sympatyczne bileciki (do kwiatów, prezentów itp.) wyprodukowała krakowska „Cepelia". Czy to jednak reklama wyrobu była słaba, czy też cena zbyt wysoka (2 zł), bileciki nie znajdowały nabywców.

Zmieniono więc cenę — na 0,50 zł.

I oto skutek. Stempel przeceny zniechęcił nas do bilecików definitywnie.

Szkoda, że obok nie ma stempelka autora przeceny.

Gość!

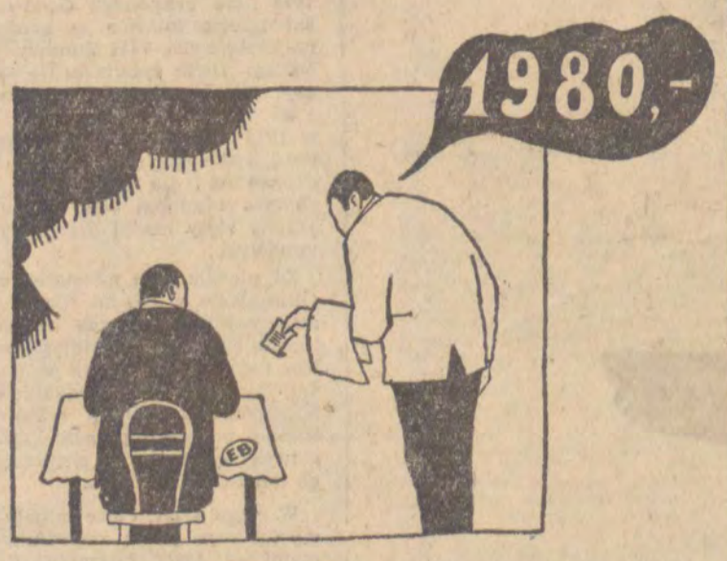

Rys. Edward Bogdański

KTO KOGO?

Wiele było wrzawy wokół konfliktu, jaki między piłkarzami a dziennikarzami miał miejsce w Amsterdamie, kiedy bawiła tam nasza reprezentacja. Potem posypały się kary: Z. Boniek i St. Terlecki — po 6 miesięcy zakazu wyjazdu za granicę w celach sportowych, a G. Lato i A. Szymanowski — po 3 miesiące. Władze sportowe jeszcze prostowały i wyjaśniały, bo komunikat był pokrętny i nie wiadomo było jak ukarano kierownictwo ekipy, gdyż nie było ono bez winy. Wszystkiego do końca nie wyjaśniono i Jerzy Andrzejewski pyta w „Literaturze", co się właściwie wydarzyło w tym Amsterdamie?

Mniejsza z tym, co się wydarzyło, gdyż rzecz zaczyna mieć zabawny ciąg dalszy. Oto Zbigniew Kossek z „Interpressu" doniósł, że w brukselskiej gazecie „La Derniere — Les Sports" ukazał się artykuł informujący, że belgijski klub SC Anderlecht czyni starania, aby Antoni Szymanowski grał w jego drużynie. Gazeta publikuje też zdjęcie A. Szymanowskiego z trenerem klubu Urbainem Braemsem. Donosi również, że Szymanowskiego badali lekarze i stwierdzili, że cieszy się on dobrym zdrowiem i może grać w Belgii. A nie tak dawno Antoni Szymanowski nie grał w polskiej drużynie, gdyż dostarczył zaświadczenie lekarskie, że jest chory. Może miał grypę, to się wszystkim zdarza.

Sekretarz PZPN — Konrad Kaleta wyjaśnił Z. Kosskowi z „Interpressu", że wyjazd nie może wchodzić w rachubę, bo... i tak dalej.

Ale Antoni Szymanowski jest już w Belgii. Układa się z belgijskim klubem. Ciekawi jesteśmy, kto kogo zwycięży?

K.I.Bic

ZAPŁON Z 4-LETNIM OPÓŹNIENIEM

Otrzymał Obywatel pismo. Wysłane 13 grudnia 1979 roku przez Łódzką Spółdzielnię Mieszkaniową. Opatrzone dopiskiem: MONIT OSTATECZNY. I zakończone: w razie, gdyby, Zarząd Spółdzielni zmuszony będzie skierować sprawę na drogę postępowania sądowego. Podpis — kierownik działu Finansowego, Stefania Dąbrowska.

Pismo wzywa do opłacenia czynszu za połowę lipca... 1975 r. zgodnie ponoć z decyzją Zarządu z 26.I... 1977 r.

Obywatela szlag trafił. Dlaczego? Ano dlatego, że 24 lipca 1975 roku także wysłał pismo do ŁSM, w którym poinformował ŁSM, że mieszkanie nie nadaje się do zamieszkania. I czynsz zaczął płacić od 1 sierpnia 1975 r., od kiedy mieszkanie zaczęło się w miarę nadawać.

Minęły ponad 4 lata i wreszcie ŁSM przypomniało sobie o sprawie, grożąc od razu jak obuchem MONITEM OSTATECZNYM.

Coś nam się zdaje, że Dział Finansowy ŁSM należałoby skierować do regulacji zapłonu. Co myśli o tym pani kierowniczka?

Mechanik

A JEDNAK MOŻLIWE!

Dawno już odkryto tę prawdę, że w życiu dzieją się takie rzeczy i sprawy, o których nie śniło się filozofom. Wiadomo też, że życie potrafi nas zaskakiwać i robi takie kawały, że ani żaden satyryk, ani żaden kpiarz, ani poważny pisarz, tego nie wymyśli. Życia po prostu nie przechytrzysz, ot, co!

I życie pod Krakowem spłatało figla wszystkim konserwatywnym prawnikom, moralistom oraz kobiecym organizacjom. Panie tu nam „trują" o równouprawnieniu, o tym, że one by też chciały wieczorkiem na szklankę słodkiego wina z koleżanką, a kto im nie daje? Teraz równość już zapanowała absolutna.

Oto, co się stało pod Krakowem. Wiesław K. i Andrzej S. byli świadkami na ślubie przyjaciół. Po całej ceremonii w USC okazało się, że to oni brali ślub. Mają to czarno na białym zaznaczone w swoich dowodach osobistych. Wynika z dokonanych tam adnotacji, że to Wiesław K. jest mężem Andrzeja S. i że Andrzej S. jest żonem Wiesława K.

Precedens już jest. Teraz każdy chłop może poślubić innego chłopa, jeśli ma taką wolę, a każda panienka może wyjść za mąż za inną panienkę lub rozwódkę, czy nawet wdowę, jeśli jej wola. Małżeństwa mieszane jeszcze są dozwolone.

Dużo szczęścia na nowej drodze!

ZYG.

MAGAZYN KULTURALNY

10840 - A

WBP im. J. P. w Łodzi